Jerzy Regulski

WYBORY 1989.

Przyczynki do pamiętnika.

Spisane w Zakopanem w 1990 r. Uzupełnione nazwiskami w 2008.

Pochmurne, deszczowe dni, uniemożliwiają wyjście w góry, skłaniają do wspomnień przeszłości. Trzeba je rejestrować, bo pamięć ludzka jest ulotna i trudno odtwarzać te wydarzenia, które się działy kiedyś, i te odczucia i emocje, które człowiek wówczas odczuwał, i te chęci i oczekiwania, którymi się wówczas kierował, podejmując takie, a nie inne działania.

Szczególnie trudno jest oddać te nastroje roku 1989. Nie wystarczy opisać wydarzenia. One same nie wiele mówią, jeśli oderwie się je od tego całego dramatyzmu, na tle którego przebiegały. Ale trzeba próbować.

Nie wiadomo, od którego momentu zaczynać te wspomnienia, bo pojedynczy fakt, wyizolowany z całego ciągu zdarzeń, traci swój sens. Dzień dzisiejszy jest przecież skutkiem wielu wydarzeń, które się zdarzyły często wiele lat temu. Dzisiejsze zachowania każdego z nas są skutkiem wychowania, jakiś rozmów z dziadkami, nauk w szkole czy pouczeń i rad rodziców. Ale jednocześnie nie można cofać się zbyt daleko, gdyż wtedy nigdy nie doszedłbym do możliwości zapisu wydarzeń ostatniego okresu. Ale na to, żeby odpowiedzieć sobie na pytanie - jak to się stało, że dziś jestem tu gdzie jestem i robię to, co robię, trzeba sięgnąć myślą wstecz i próbować sobie, chociażby w generalnym zarysie, zapisać ten ciąg wydarzeń, który doprowadził do dnia dzisiejszego.

*

4 kwietnia 1989 roku zakończyły się obrady Okrągłego Stołu. W ich ramach współprzewodniczyłem grupie poświęconej samorządowi terytorialnemu. Podpisaliśmy w tej sprawie protokół rozbieżności. Nasza delegacja wiedziała dobrze, co powinno być zrobione. Pracowaliśmy nad założeniami reformy prawie dziesięć lat. Pierwsze, dość kompleksowe założenia przedstawiłem już w czerwcu 1981 roku na forum Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”. Była to grupa ludzi, którym na sercu leżała przyszłość kraju i którzy poszukiwali dróg jej naprawy, nie przez protesty i walkę, ale przez próby zainicjowania procesu ewolucyjnych przemian, które mogłyby doprowadzić do pełnego wyzwolenia się z supremacji radzieckiej bez zbędnych ofiar i strat.

Odbudowa samorządu stała się jednym z istotnych nurtów w tym zamierzeniu, chociaż początkowo nie wiele osób rozumiało jej sens i potrzebę. Jednak przedstawione wówczas tezy

stały się punktem początkowym programu studiów i refleksji, jaki realizowaliśmy w niewielkiej grupie przez całe lata osiemdziesiąte, w oparciu o zakłady w Instytucie Nauk Ekonomicznych PAN i na Uniwersytecie Łódzkim, którymi kierowałem wraz z zespołem Michała Kuleszy z Uniwersytetu Warszawskiego.

Te studia pozwoliły na sformułowanie programu odbudowy samorządu, który został przyjęty przez Komitet Obywatelski przy Lechu Wałęsie i stał się podstawą naszych żądań przy Okrągłym Stole. Jednak ówczesne władze były przeciwne jakimkolwiek poważnym zmianom. Po kilku dniach rozmów podpisaliśmy protokół rozbieżności i rozstaliśmy się z niczym.

8 kwietnia odbyło się posiedzenie Komitetu Obywatelskiego dla podsumowania osiągniętych ustaleń i przyjęcia planu działania. Geremek, w oparciu o większość Komitetu, zaproponował, aby Komitet przekształcił się w komitet wyborczy i żeby przedstawił listę kandydatów w wyborach parlamentarnych, związanych głównie z ruchem solidarnościowym. Grupa osób, w tym Hall, Mazowiecki, Strzembosz, Olszewski uznali, że to jest niewłaściwe. Według nich Komitet Obywatelski powinien stanowić szeroką platformę dyskusyjną, w której różne partie byłyby reprezentowane i różne kierunki polityczne znalazłyby odbicie w programie politycznym. Jednak Komitet przyjął propozycję Geremka, uznając, że dla osiągnięcia sukcesu wyborczego trzeba wszelkie podziały odłożyć na później a w wyborach przedstawić „drużynę" skoncentrowaną wokół Lecha Wałęsy. Wprowadzenie podziałów i dyskusji pomiędzy różnymi grupami politycznymi prowadziłoby do pewnej porażki w konfrontacji z PZPR.

Jednak szereg osób w proteście przeciwko rzekomej monopolizacji politycznej zdecydowało się nie kandydować. Powstał nawet problem czy pozostają oni nadal członkami Komitetu, czy już z niego wyszli nie poddając się woli większości. Na szczęście nie podjęto żadnej decyzji i sprawa powoli zniknęła, szczególniej po wygranych wyborach, gdy powstały warunki dla rozwoju sceny politycznej.

Jednak ten rozłam, który wtedy powstał, miał istotne znaczenie dla przebiegu wydarzeń w przyszłości. Sądzę, że to był początek końca Komitetu, który nie odpowiedział sobie wtedy na pytanie, czy ma być partią polityczną, czy ma być czymś w rodzaju platformy, jednoczącej różne kierunki polityczne, stwarzającej płaszczyznę do dyskusji, a nie kształtowania pewnej orientacji programowej.

Osobiście uważałem i uważam nadal, że podstawowym zadaniem było wówczas wygranie wyborów i odsunięcie komunistów od władzy. Dlatego Komitet powinien być jedną siłą i mówić jednym głosem. Forum dyskusyjne wielu różnych partii, które zresztą istniały jedynie w głowach kilku polityków, nie mogło wyborów wygrać. Takie fora nie stanowią siły politycznej. Rolą Komitetu było więc scementowanie opozycji, niezbędne dla wygrania wyborów. Potrzeba było ciała o zdecydowanym charakterze i reprezentującym pewną orientację polityczną, a więc grupy początkującej jakieś stronnictwo czy partię.

Na tym posiedzeniu Komitetu również został powołany zespół do spraw opracowania programu wyborczego. W pewnym momencie Jurek Stępień zaproponował z sali, żeby również mnie włączyć, ponieważ sprawy samorządu lokalnego będą miały w czasie wyborów istotne znaczenie. No i tak się później zdarzyło, że ogromna większość tekstu programu wyborczego „Solidarności" jest mojego pióra.

Zespól powstał w składzie: Halina Bortnowska, Stefan Bratkowski, Kazimierz Dziewanowski, Krzysztof Kozłowski, Jacek Kuroń, Jerzy Regulski i Ernest Skalski. Czułem się początkowo trochę niepewnie. Byłem dość nowym człowiekiem w tym środowisku, pośród osób o znanych nazwiskach. Sądziłem, że potrafią oni łatwo program napisać, a moją rolą będzie jedynie zadbanie, aby znalazło się odpowiednie stwierdzenie o konieczności odbudowy samorządu. Okazało się jednak, że większość osób była w większym stopniu publicystami a nie politykami. Skoncentrowali się na pisaniu odezw do narodu, wezwań wyborczych, które oczywiście są potrzebne, ale nie mogą zastąpić programu. Trochę się dopominałem o zestaw konkretnych postulatów, które powinny stanowią nasz program polityczny, ale nie znajdywałem zrozumienia. Dość, że po kilku dniach spotkań poczułem się wyraźnie zaniepokojony, gdyż czas uciekał, a programu nie było widać.

Zacząłem się więc dopominać i jak zwykle spotkałem się z reakcją: jak chcesz to zrób sam. Znalazłem się w trudnej sytuacji, bo zostało mi kilka dni, a zakres niezbędnych zmian ustrojowych, których się dopominaliśmy był ogromny. Ale wybrnąłem w ten sposób, że przyjąłem założenie, że program powinien być oparty na wynikach Okrągłego Stołu, i zawierać te nasze postulaty, które strona rządowa odrzuciła. W ciągu soboty i niedzieli obdzwoniłem przewodniczących wszystkich komisji Okrągłego Stołu, mówiąc, żeby na poniedziałek przygotowali wykaz spraw, które uważają za najważniejsze, a które nie zostały załatwione. Niektórzy byli bardzo zdziwieni, zastanawiali się właściwie, dlaczego ja i w czyim imieniu tu dzwonię, ale ogromna większość osób te materiały mi dała. W połowie następnego tygodnia miałem pierwszy zarys tekstu programu. Potem został on jeszcze przeredagowywany i uzupełniony przez zespół, jeszcze dociskano pewne sprawy, ale właściwie mój pierwotny tekst został zaakceptowany.

Te dwa tygodnie pracy nad programem właściwie wyłączyło mnie z bieżących spraw i interesowania tym, co się dzieje. A w tym czasie tworzone były listy wyborcze. Byłem trochę zdziwiony, że nikt mnie nie pytał o to, czy chcę kandydować, i jeśli tak to gdzie. Zaraz po poprzednim zebraniu Andrzej Wielowieyski powiedział mi, że jeżeli chcę uczestniczyć w wyborach, to powinienem tę gotowość zadeklarować Geremkowi. Zrobiłem to, a on to przyjął do wiadomości, ale powiedział, że zgłasza ludzi, którzy będą wybrani, a on nie ma pewności, czy temu kryterium sprostam. Bo rzeczywiście nie byłem związany z żadnym specjalnym regionem. Ani Warszawa ani Łódź, gdzie wykładałem na Uniwersytecie, nie wchodziły w rachubę, bo tam

byli mocni lokalni kandydaci. Myślałem o jakichś województwach wokół Łodzi, ale właściwie nikt się ze mną w tej sprawie nie porozumiewał i właściwie sprawa ucichła.

Następne posiedzenie Komitetu było wyznaczone na 23 kwietnia, jako pierwsze w pełni legalne posiedzenie komitetu wyborczego. Już nie w podziemiach kościoła na Żytniej, ale w audytorium maksimum na Uniwersytecie. 23 kwietnia są również moje imieniny. Rano obudził nas telefon z Chicago i teściowa mego syna gratuluje mi z powodu kandydowania do Senatu. Byłem w pełni zaskoczony. Podziękowałem, ale powiedziałem, że nic o tym nie wiem i zapytałem skąd ona o tym wie. Okazało się, że zadzwoniła do niej nasza synowa i powiedziała, że gdy weszła do znajomych w New Haven, to przywitali ja okrzykiem: „O patrzcie, wchodzi synowa senatora. Jej teść został wyznaczony, jako kandydat do Senatu". Byłem coraz bardziej zaskoczony. Naprawdę nic nie wiedziałem. Moja rozmówczyni nie bardzo mnie uwierzyła. I tak zawisło to w próżni. A mnie rzeczywiście było dość przykro, bo myślałem sobie, że jak ja nie wejdę do parlamentu to nie tylko ja zostanę na boku, ale przede wszystkim cała sprawa samorządu zostanie zaniedbana, bo w tym czasie właśnie nikt z osób zaangażowanych politycznie tymi sprawami się nie zajmował.

Idę na zebranie do Audytorium i w wejściu spotykam Ryszarda Reiffa, który się mnie pyta, z którego województwa kandyduję. Odpowiadam, że z żadnego. Ryszard jest zaskoczony. „To jest niemożliwe! Ty musisz kandydować. Nie wolno ciebie pomijać ze względu i na twoją wiedzę, a przede wszystkim na temat. Samorząd musi powstać i tylko Ty możesz tego dokonać. Jest jakaś afera w leszczyńskim, i zdaje się jest puste miejsce. Ja cię zaraz skontaktuję z przedstawicielem tego regionu. Oni szukają kandydata." Za chwilę mnie skontaktował z jakimś panem. Ale rozmowa była głupia. Ani ja jego nie znałem, ani on nic o mnie nie wiedział. Tośmy sobie powiedzieli cześć i do widzenia. I żeśmy się rozeszli.

Ale gdy wchodzę na salę, to ktoś mi mówi: a to ty kandydujesz z Jeleniej Góry? Ja jestem zaskoczony: „z Jeleniej Góry? Nic o tym nie wiem". Mój rozmówca patrzy na mnie jak na wariata. „Jak to nie wiesz, przecież jesteś już wydrukowany na liście kandydatów." Ktoś mi podaje listę. I rzeczywiście patrzę z Jeleniej Góry kandyduje do Senatu Jerzy Regulski. Byłem zdziwiony i zaskoczony. Ale okazało się, że to Andrzej Wielowieyski dbał o interesy samorządu. Jelenia Góra mnie akceptowała, i po chwili już rozmawiałem z przewodniczącym Komitetu Jeleniogórskiego panem Lechowiczem. Ale tym razem skończyło się tylko na krótkiej rozmowie. Miałem jeszcze wiele roboty z ostatecznym opracowaniem programu wyborczego.

Zadzwoniłem do żony do domu. Danki nie było w domu. Telefon odebrała nasza lokatorka. Po prosiłem ją: pani Elżbieto, niech pani przekaże żonie, że dzwonił senator z Jeleniej Góry. Kiedy Danka wróciła do domu, Elżbieta mówi do niej: proszę pani, dzwonił do pani senator z Jeleniej Góry, Danka oburzyła się: „ Co za głupi dowcip, ktoś się już podszywa, jeszcze nie ma

wyborów, a już używa tego tytułu.” Wtedy Elżbieta zaczęła się śmiać i mówi: „To jest właśnie pani mąż”.

Teraz wydarzenia potoczyły się bardzo szybko. W kilka dni później wszyscy kandydaci pojechali do Gdańska, żeby właśnie tam, pod auspicjami Lecha Wałęsy, rozpocząć kampanię wyborczą. W historycznej sali bhp w Stoczni Gdańskiej było spotkanie ogólne. Nic specjalnie się tam merytorycznego, ważnego nie stało. Ale dla mnie to było pierwsze spotkanie z moimi partnerami wyborczymi z Jeleniej Góry: Andrzej Piesiak, kandydat na senatora, 35 lat, elektronik, przewodniczący regionu „Solidarność”; Roman Niegosz, drwal z Parku Karkonoskiego, dawny elektromonter, który był twórcą „Solidarności” w tamtym regionie, Zbyszek Bobak już pod sześćdziesiątkę, nauczyciel ze Zgorzelca, prześladowany i wyrzucony ze szkolnictwa, ostatnio pracował jako operator wielkiej koparki w kopalni w Bogatyni oraz Janek Kisilijczyk, geodeta z Bolesławca, działacz katolicki.

Robiono nam fotografie z Wałęsą. Dzięki nim później mieliśmy plakaty, które odegrały wielką rolę w kampanii. Wałęsa stał na scenie i kolejno podchodzili do niego wszyscy kandydaci, a fotograf pstrykał zdjęcia. Ale każdy tak dość sztywno stawał przy Lechu. Pomyślałem, że muszę mieć lepsze zdjęcie. Więc kiedy przyszła moja kolei i do niego podszedłem, to objąłem go ręką i lekko przycisnąłem. On dość automatycznie spojrzał się na mnie i uśmiechnął się. W efekcie miałem jeden z najlepszych plakatów. Po prostu dwóch uśmiechniętych przyjaciół.

Ustaliliśmy, że pojadę do Jeleniej Góry tak, aby być w czwartek, 4 maja o 18-tej na spotkaniu w Klubie Inteligencji Katolickiej. Miał to być początek mojej kampanii. Ustaliliśmy, że przyjadę własnym samochodem, bo w Gdańsku powiedzieli mi moi nowi towarzysze, że będzie on konieczny jak środek lokomocji. Mają dostać jeden samochód od wojewody tytułem zwrotu samochodów skonfiskowanych „Solidarności” w 1981 roku. Ale to będzie jedyny samochód dla całej naszej kampanii. Każda możliwość wykorzystania dodatkowego będzie miała podstawowe znaczenie, bo żaden z kandydatów nie ma samochodu.

Ta podróż z Warszawy, z Iwem Byczewskim i Włodkiem Koconem, moimi współpracownikami z Instytutu Nauk Ekonomicznych PAN, a także z Komisji Samorządu Terytorialnego Komitetu Obywatelskiego, była dla mnie niepowtarzalnym przeżyciem. Miałem świadomość, że jadę ku nowemu etapowi mojego życia. Jadę gdzieś, gdzie nie wiem, co mnie spotka. W Jeleniej Górze byłem już kilkakrotnie, ale jako gość Akademii Ekonomicznej. Tym razem rola była diametralnie inna. Jechałem ku nowemu. Wiedziałam, że moje życie zmieni się całkowicie, a jednocześnie nie wiedziałem, co mnie spotka. Tak sobie wyobrażałem przeżycia dawnych emigrantów wyjeżdżających do Stanów Zjednoczonych. Jechali ku nowemu światu z wielką nadzieją, ale i obawami, nie wiedząc zupełnie, co ich tam czeka. Jechali w nieznane. To było silne przeżycie.

Myślałem, że pojadę na dwa, może trzy, cztery dni, potem wrócę do Warszawy. Potem sobie znowu kiedyś jeszcze raz pojadę i jakoś tak będzie. Ale nigdy nie przypuszczałem, że wrócę do Warszawy dopiero po pięciu tygodniach, już jako senator.

Dojechaliśmy do Sobieszowa, tej dzielnicy Jeleniej Góry, gdzie miałem zamieszkać w domu Romka Niegosza. Tam założyliśmy główną naszą kwaterę, w której mieszkałem przez następne tygodnie. Tu zatrzymywała się Danka, kiedy przyjeżdżała. Tu mieszkali też Iwo, i Włodek. Pani Maria Niegoszowa nie tyko gotowała dla nas, ale stworzyła miła domową atmosferę, która była dla nas nieoceniona w tych dniach pełnych napięcia. Dwie córeczki dopełniały nastroju rodzinnego. Mieliśmy dom, w którym tak dobrze się czuliśmy.

A potem, już w większym towarzystwie z Romkiem pojechaliśmy do kościoła garnizonowego, gdzie ksiądz Stanisław Boczoń był duszpasterzem ludzi pracy i stanowił jeden z podstawowych ośrodków naszej kampanii wyborczej. Podjechaliśmy pod kościół, akurat wychodzili ludzie po nabożeństwie. Ksiądz Stanisław Boczań przywitał się ze mną, objął mnie i odwrócił się do ludzi i głośno zawołał: „Ludzie, ludzie, chodźcie tu, chodźcie tu bliżej, nasz profesor przyjechał". Zupełnie zgłupiałem.

Okazało się, że zanim ja dojechałem do Jeleniej Góry, to już wszędzie wisiały moje fotografie, fotografie z audiencji u Papieża, fotografie z Wałęsą, z podaniem nazwiska i krótkie notki biograficznej. Były rozwieszone w gablotach wokół wielu kościołów, a księża informowali o liście kandydatów, wymieniając między innymi moje nazwisko. Zostałem w mgnieniu oka otoczony przez nieznajomych zupełnie ludzi. Zaczęli mi zadawać pytania, ściskać ręce, cieszyć się, że jestem z nimi. Zupełnie mnie zamurowało i nie bardzo wiedziałem jak się mam zachować. To było tak silne wrażenie. W oczach tych ludzi widziałem wiarę, że ja im zmienię życie.

Ta ludzka wiara, tworzyła wielkie obciążenie psychiczne. Przecież oni mi wierzą, więc ja jestem odpowiedzialny, żeby ich nie zawieść. To poczucie odpowiedzialności nie opuszczało mnie przez cały okres kampanii wyborczej. Ale to pierwsze spotkanie było dosłownie szokiem. Ciężar odpowiedzialności po prostu na mnie się zwalił. I poczułem jak wielka jest różnica pomiędzy dyskusjami w zamkniętych gronach intelektualistów, a rzeczywistymi odczuciami i oczekiwaniami ludzi.

W chwilę później w dużej sali zebrało się kilkaset osób. Według mojego pobieżnego szacunku było ich około trzystu. Inni mówili, że znacznie więcej, ponieważ jeszcze stali na schodach, na korytarzach i nawet przed budynkiem, gdzie było nagłośnienie i można było słyszeć to, co się mówiło w sali. To było pierwsze spotkanie. Nie bardzo wiedziałem, co mówić. Odpowiadałem na pytania, przedstawiałem się, mówiłem o programie. Razem ze mną był Andrzej Piesiak i Roman Niegosz, którzy również mówili o sobie, ale właściwie całe zebranie było skoncentrowane raczej na mnie, jako na tym nowym, który się musiał przedstawić, odpowiadać na pytania i zdobyć zaufanie ludzi. Było to bardzo mocne wrażenie.

Ale było to dopiero preludium do dalszych wydarzeń. Zaczął się nieprzerwany ciąg spotkań i publicznych wystąpień. Musiałem się nauczyć jasno mówić i przedstawiać swoje myśli, tak, aby były zrozumiałe dla każdego, niezależnie od poziomu wykształcenia. Trzeba było mówić jednoznacznie i odrzucić te zakamuflowane wyrażenia, którymi operowaliśmy w naszych środowiskach. Musiałem przełamać dawne nawyki autocenzury i mówić wprost, że my nie lubimy komunizmu, że startujemy do wyborów po to, żeby zmienić ustrój, że chcemy, żeby się ludziom nie tylko lepiej żyło, ale aby żyli w kraju wolnym i dlatego nie chcemy, ażeby rządziła Polską partia, czy te nieformalne istniejące różne mafie. Dziś, z perspektywy czasu wydaje się to łatwe. Wtedy to było trudne. Trzeba było się przemóc, aby po 45 latach życia w systemie komunizmu publicznie powiedzieć, że mnie się nie podoba socjalizm. Przez te lata byliśmy cały czas indoktrynowani i zastraszani. Przecież ja sam przeszedłem przez więzienie. Więziony był mój ojciec, a ksiądz Popiełuszko nie tak dawno był zamordowany. Trzeba było odrzucić te wszystkie ograniczenie i mówić prosto i jasno.

Ale jednocześnie zdawaliśmy sobie wszyscy sprawę, że nie wiadomo, co się będzie działo. Nie było wiadomo, do jakiego stopnia władza zezwoli na wolne wybory, i czy w pewnym momencie ZOMO nie zacznie swoich akcji. Czy układ przyjęty przy Okrągłym Stole wystarczy, aby nie został uruchomiony cały aparat ucisku, bojówki, prowokacje, czy po prostu ataki fizyczne?

Szybko ustaliliśmy zasadę, że żaden z nas, a szczególnie ja, nie będziemy nigdy chodzić sami. W czasie całej kampanii wyborczej zawsze byłem z kimś, szczególnie wieczorem. A przecież często wracaliśmy z różnego rodzaju spotkań samochodem nawet i po północy. A wtedy łatwo jest spowodować jakiś wypadek czy awanturę. Zawsze byłem, więc z kimś. Specjalną rolę odgrywali Iwo Byczewski i Włodek Kocon, którzy się mną opiekowali jak dzieckiem, spełniali rolę kierowców, asystentów, opiekunów, bo jednak to była ciężka praca fizyczna. A gdy ich nie było to przydzielano mi jakiegoś lokalnego emerytowanego robotnika, który miał trochę czasu wolnego.

Organizacja naszej kampanii to sama w sobie opowieść. Dostaliśmy trzypokojowe mieszkanie na parterze przy ul. Wojska Polskiego. Wszystko tam było. Tam urzędowali rolnicy indywidualni, swoją siedzibę miał związek zawodowy „Solidarność", my nasze biuro kampanijne. Tam był skład materiałów. Dwóch emerytów sprzedawało stale prasę. Był to taki lokal rewolucyjny. Ciągle coś się działo. Ciągle ktoś wchodził, czegoś chciał, o czymś informował.

Nasz cały nasz sztab kampanijny składał się z 4 ludzi: 3 robotników, działaczy „Solidarności" oddelegowanych z zakładów pracy i jeden księgowy. Nad wszystkim czuwał pan Lachowicz i Tadeusz Lewandowski, jako szefowie Komitetu Obywatelskiego. Również istotna rolę odgrywał Andrzej Piesiak który był przewodniczącym Regionu Solidarności. Oni prowadzili wszystkie sprawy organizacyjne i formalne kontakty z władzami. Ja koncentrowałem się na merytorycznej treści spotkań i myśleniu o propagandzie.

Bardzo dużo zaangażowanych ludzi przychodziło, aby zgłosić chęć współpracy lub po prostu wyrazić poparcie. Poważnym zadaniem było rozwieszanie plakatów wyborczych. Dostaliśmy z Warszawy te z fotografią z Wałęsą, ale ich liczba była ograniczona. W miejscowych drukarniach wyprodukowano, więc różne inne. Konieczne było rozwieszenie ich jak najwięcej. Trzeba było ludziom wbić w głowę nasze nazwiska. Wydrukowano więc też ogromną liczbą małych karteczek z nazwiskiem i logo Solidarności, które rozklejano wszędzie, na słupach ulicznych w klatkach schodowych na murach. To okazało się bardzo skuteczne. Ale żeby te afisze rozklejać trzeba było zaangażować wielu ludzi z różnych miejscowości. I, że się to udało było dowodem jak wielkim cieszyliśmy się poparciem.

Rzeczywistą trudnością była łączność. Wspomniałem o braku samochodów. Mieliśmy dwa: mój Fiat i ten stary Polonez odzyskany przez Solidarność. Początkowo nie mieliśmy nawet telefonu. Dwa aparaty zostały podłączone dopiero później. Zresztą w tym regionie było ich w ogóle bardzo mało. Cała organizacja kontaktów była oparta na pani doktor Polek, dentystce, ponieważ ona miała telefon. Pani doktor jedną ręką operując pacjentów, drugą podnosiła słuchawkę i uzgadniała wszystkie spotkania. Dziś to śmieszne wspomnienia. Ale wtedy odegrała ona kluczową rolę dla naszego sukcesu.

Wróćmy jednak do sekwencji wydarzeń. Następnego dnia pojechaliśmy z rana do Wrocławia, bo mieliśmy mieć nagranie w telewizji. Spędziliśmy pół dnia we Wrocławiu, zupełnie bez sensu, Nic nie nagraliśmy. W Telewizji zupełnie nie wiedzieli jak mają nas traktować. Pojechaliśmy nowym samochodem, oddanym nam przez wojewodę. Dopiero się potem okazało, że samochód był właściwie całkowicie bez hamulców i tylko dzięki Boskiej opiece, czy zbiegowi dobrych okoliczności uniknęliśmy jakiejś straszliwej katastrofy. Samochód w ogóle nie miał hamulców i nie wiadomo właściwie, dlaczego Romkowi Niegoszowi, udawało się hamować. A jechaliśmy dosyć ostro.

Wieczorem kolejne spotkanie, w małym gronie, przedstawicieli Towarzystwa Urbanistów Polskich i Architektów, w prywatnym lokalu. Rozmawialiśmy o różnych sprawach zawodowych.

Tego dnia Iwo wyjechał do Warszawy, żeby przekazać Dance informacje i ustalić, jak będziemy działać dalej, wspólnie organizować kampanię. Już wtedy było jasne, że do Warszawy tak szybko nie przyjadę i że jest konieczne, żeby przyjeżdżała Danka do mnie.

Sobota zaczęła się dla mnie fatalnie. Moja zębowa wkładka w pewnym momencie mi upadła na podłogę i pękła na pół. Sytuacja stała się tragiczna. Jak bez wszystkich zębów można prowadzić kampanię, jak się uśmiechać, jak mówić? Byłem w panice i już myślałem żeby odwołać spotkania i jechać do mego dentysty do Warszawy. Ale okazało się, że wszystkie drzwi są dla

mnie otwarte. Parę telefonów, i otworzono dla mnie dla mnie przychodnie. Była lekarka[1], protetyczka, asystentki. I jakoś wszystko mi polepili w ciągu godziny, tak, że nawet żadnego terminu nie musiałem przesuwać. Wtedy pierwszy raz poczułem, co to jest ludzka pomoc i solidarność. I poczucie, odpowiedzialności, która na mnie ciąży jeszcze się zwiększyło.

W południe, o 13.30 trzecie z kolei spotkanie w fabryce w Aniluksie. 30 osób. To jeszcze łatwe spotkania z robotnikami, chociaż dużo pytań, już bardzo konkretnych, dotyczących programów przekształceń gospodarczych i zmian w sposobie zarządzania.

Niedziela, 7 maja, już ma trochę inny charakter. Tempo spotkań zaczyna nabierać na sile. Mamy tego dnia już trzy spotkania O 8 rano w Maciejowej Msza Święta w kościele parafialnym na pograniczu Jeleniej Góry. Potem przejście do sali katechetycznej. Organizacja była dość kiepska. Przyszło jedynie ze 20 osób. Pogadaliśmy sobie chwilę. Ale to było taki wstępne ćwiczenie.

O 10-tej byliśmy już w Jeżowie. 400 osób, świetna organizacja, kościół pełen ludzi. Planowane było spotkanie na zewnątrz kościoła, ale deszcz zaczął kropić, i ksiądz wyraził zgodę na dyskusję w kościele. Wobec tego przemawialiśmy spod ołtarza. A potem doroczna pielgrzymka pod krzyż, na skraju wsi. Ksiądz, gdy objął parafie to uznał, że we wsi powinno być jakieś miejsce pielgrzymek, które integrują ludzi i stają się świętem wsi. I celem pielgrzymek zrobił krzyż wybudowany na pamiątkę odzyskania niepodległości w 1918 roku. I co roku idzie procesja do tego krzyża, niedaleko, kilkaset metrów. Ale jest to święto wsi. Poszliśmy ze wszystkim. Były przemówienia. Ja coś dopowiedziałem, zwracając się do weteranów wojny. Bardzo sprawna organizacja i bardzo dobry proboszcz.

Wieczorem, już szóste z kolei spotkanie. Tym razem z „Solidarnością Rolniczą" w Zbylatowie. U rolników był wyraźnie rozłam. Przywódca „Solidarności Rolniczej" w tym rejonie, pan Ciosek, nie został kandydatem Komitetu Obywatelskiego w wyborach. W stosunku do niego formułowano cały szereg jakichś zarzutów. Postanowił więc, że będzie prowadził własną kampanię. Był on kontrkandydatem Janka Kisilijczyka w okręgu wyborczym zgorzeleckim.

To było niesamowite spotkanie. Był zjazd miejscowych rolników. Wszyscy trochę podpici. Ciosek prowadził spotkanie o popisywał się swoja demagogią. Był cały jego sztab i wszyscy jego poplecznicy. Mieli wyraźną większość na sali. Atakował Kisilijczyka w sposób brutalny, a i nas też nie oszczędzał. Baliśmy się, że emocje i wódka spowodują jakiś wybuch. Wszystko było możliwe. Co chwila byliśmy na skraju awantury. Bójka mogła wybuchnąć z byle powodu. Ławy, pięści i kije mogły pójść w ruch. Baliśmy się masakry i interwencji milicji, która mogłaby pogrążyć całą kampanię. Bo nie wiadomo by było kto pił i kto kogo bił. Włodek Kocon

[1] Jak znany to był przypadek I wbił się w ludzka pamięć, świadczy fakt, że w 2008 roku spotkałem męża tej pani doktór, który tę sprawę dobrze pamiętał. Jestem Pani Doktór do dziś wdzięczny.

cały czas patrzył gdzie są drzwi i pilnował mnie, żebym zawsze mógł w razie czego uciec. To było dramatyczne spotkanie, najgorsze z całej kampanii. Według moich rachunków w dotychczasowych sześciu spotkaniach uczestniczyło około 900 ludzi.

W poniedziałek Włodek Kocon wyjechał do Warszawy, zostałem sam. Spotkałem się z profesor Strahl, która była prodziekanem Wydziału Ekonomicznego, i z którą znaliśmy się dawno z kontaktów międzyuniwersyteckich. Było to o tyle istotne, że naszym głównym kontrkandydatem był pan doc. Borys, dziekan tego Wydziału. Został on zgłoszony jako kandydat do Senatu przez Klub Ekologiczny. Był kandydatem miejscowym, miał istotne zasługi w ramach ruchu ekologicznego i był osobą popularną. Miał on również poparcie miejscowej Partii, jakkolwiek nie był formalnie kandydatem PZPR. Traktowaliśmy go jako najpoważniejszego przeciwnika i jako kandydata tej opcji, która chciała utrzymać istniejący ustrój. Doc. Borys był częstym przedmiotem naszych rozmów i jakkolwiek nie prowadziliśmy żadnej „czarnej" kampanii adresowanej przeciw niemu, to jednak staraliśmy się obserwować jego działania. Innych kontrkandydatów nie traktowaliśmy poważnie. Panią Strahl znałem dawno i byłem zresztą koreferentem i recenzentem jej prac naukowych, a nawet chyba jej wniosków o docenturę czy habilitację. Rozmawialiśmy szczerze i dzięki niej uzyskałem możność kontaktu z organizacjami studenckimi. To było bardzo ważne spotkanie i miało swoje bardzo pozytywne skutki, gdyż wchodziliśmy z naszą kampanią na teren przeciwnika.

Wieczorem pojechaliśmy do Sosnówki, gdzie mieliśmy spotkanie pod kościołem. Była to okazja do kolejnych wzruszeń, gdy przywitano nas kwiatami. 50 osób, dobra organizacja, przygotowane nagłośnienie zewnątrz kościoła. Świetne spotkanie z ludźmi rozsądnymi i rozumiejącymi, o co idzie gra. Ale to ich zaufanie do nas tylko potęgowało moje poczucie odpowiedzialności. Ludzie spodziewają się, że my zmieniamy ich świat. Ale czy my będziemy do tego zdolni? Wyrażają ogromne zainteresowanie programem zmian i wolę współdziałania z nami na różnych poziomach organizacji. Czy potrafimy ten zapał wykorzystać w przyszłości?

Wtorek, 9-tego maja. Spotkanie rano w Biurze Planowania, potem wyjazd do Łomnicy, gdzie mieliśmy kolejne spotkanie pod kościołem. Tego dnia zostałem formalnie zgłoszony na kandydata. Złożono pod moim zgłoszeniem około 4 tysięcy podpisów. Okazało się jednak, że w sumie zebrano ich blisko 20 tysięcy! Bo po zgłoszeniu zbierano podpisy nadal. Ludzie chcieli nas popierać i nikt nie śmiał odmówić im tego prawa. Było to dla mnie absolutnym zaskoczeniem. Nie znałem tych ludzi, nie widziałem ich, a oni mnie. Ale jednocześnie wyrażali pełne zaufanie do mnie i naszego programu. Byłem zaskoczony tym ogromnym zaangażowaniem ludzi i tym wielkim oczekiwaniem na zmianę. Nie sądziłem, że to oczekiwanie jest tak silne i tak powszechne.

10 maj. O 10 rano spotkanie w katedrze gospodarki miejskiej uczelni z zespołem pani Strahl. O 14-tej spotkanie w ZREM, zakładach remontowych, z załogą i przedstawicielami lokalnej „Solidarności".

Czwartek, 11-tego. Przyjeżdża Danka. Przywiozła mi czyste koszule i bieliznę na wymianę. Już jest jasne, że ja stąd do Warszawy jeździć nie będę. Dowiozła nam też plakaty i różne wydawnictwa wyborcze. Zaczęła spełniać rolę naszego kuriera z Warszawy.

O godz. 18 mamy znowu, jak co tydzień, spotkanie w Klubie Inteligencji Katolickiej, 300-400 ludzi. Danka po raz pierwszy uczestniczy w spotkaniu. Później zawsze była ze mną jak tylko jej praca umożliwiała przyjazd do Jeleniej Góry. Jej obecność zawsze była mi bardzo pomocną. Tym razem uczestnicy spotkania wywołali ją i musiała się przedstawić. W tych dniach obchodziliśmy czterdziestą rocznicę naszego ślubu. Często o tym mówiłem. Zobaczyłam jak dobrze ludzie na to reagują. Czterdzieści lat z jedną żoną, to dowód, że można mieć zaufanie do człowieka.

Po tym pierwszym tygodniu już miałem 12 publicznych spotkań i około1400 osób uczestniczących w tych zebraniach.

Piątek, 12-tego. O 10-tej Droga Krzyżowa w kościele garnizonowym w Jeleniej Górze. Występuję z Romanem Niegoszem. Znowu jest niedobra pogoda, znowu mam przemówienie spod ołtarza, trochę jak kazanie. Już powoli wykształciło się kilka modeli moich przemówień. Tym razem mówiłem trochę o wartościach chrześcijańskich, nawiązujących do wypowiedzi Jana Pawła II. Trochę wspomnień z osobistego spotkania, które miałem z Nim w końcu stycznia. Powiedział mi wtedy, że błogosławi nam w naszym dziele przebudowy kraju. To powtórzyłem w kościele.

Ludzie nie byli przygotowani do dyskutowania czy rozważania konkretnych zagadnień. Nie interesowały ich sprawy szczegółowych rozwiązań. Nie byli do takich dyskusji przygotowani. Chcieli po prostu, żeby komunizm odszedł i wierzyli, że będzie im się żyło lepiej. Chcieli natomiast słuchać o wartościach: o prawdzie, wolności, zasadach nauki społecznej Kościoła. Oni nam ufali dlatego, że wierzyli, że będziemy realizować te wartości w naszej późniejszej pracy parlamentarnej.

O 12-tej tego samego dnia miałem wykład w Akademii Ekonomicznej. Było około 50 studentów i wykładowców. Przedstawiłem założenia reformy samorządowej, bo to był mój temat sztandarowy. Nastąpiło skrzyżowanie szpad z panią Borysową, żoną naszego kontrkandydata. Ona była również docentem i jak każda żona była bardzo zaangażowana emocjonalnie w poparcie męża. Więcej było emocji niż dyskusji merytorycznej. Trochę przerzucania się hasłami i zarzutami. Pani Borysowa bardzo chciała przekonać studentów, że ja jestem obcy, teoretyk, który nie rozumie bezpośrednich potrzeb lokalnych.

Wieczorem, o 19.30 pojechaliśmy do wsi pod Jelenią Górą, do Komorna, gdzie mieliśmy się spotkać z miejscowymi chłopami w świetlicy wiejskiej. Przyszło w sumie 10 osób, ale jak się okazało, to były te osoby, które decydowały o poglądach całej wsi. Ludzie opiniotwórczy, a więc dla nas bardzo ważni. Spokojna rzeczowa dyskusja. Konkretne pytania i rozsądne wątpliwości. Potem jeden z gospodarzy spotkania zaprosił nas do swojego prywatnego gospodarstwa. Okazało

się, że jest to geodeta, który rzucił swój zawód, kupił ziemię, i zaczął na szczycie wzgórza hodować barany. Mieszkając w jakiejś rozwalającej się ruderze, powoli doprowadził do wybudowania domu dla żony i dzieci. Wokół hodowli rozwijał interes turystyczny. Zbudował miejsce dla ogniska, gdzie przyjmował różne wycieczki, sam śpiewając z mandoliną. Jednocześnie uruchomił różne stragany z wędlinami baranimi w paru miejscach w Jeleniej Górze i Szklarskiej Porębie. Spędziliśmy cały wieczór, jedząc szaszłyki baranie przy ognisku. On nam śpiewał, był przepiękny wieczór. Siedzieliśmy do północy. Cenna chwila odpoczynku. Mieliśmy już 15 spotkań za sobą.

W sobotę, następnego dnia było spotkanie w teatrze. Wynikły problemy z orkiestrą, która miała też grać honorowo. Ale część orkiestry nie chciała grać za darmo. Byli członkami PZPR i nie chcieli angażować się w naszą kampanię. Uważali, że mogą grać tylko zawodowo, a więc odpłatnie. Oni „Solidarności" nie chcieli i uważali, że nie ma powodu, żeby nas popierać. Wokół tego koncertu było wiele różnych konfliktów. Jedni wywieszali afisze, które ktoś zdejmował. Gdzieś odmawiano ich wywieszania, gdzie indziej się o nie dopominano. W końcu jednak koncert się odbył i było 600 osób. Wejście było za darmo, ale sprzedawano cegiełki. Danka uruchomiła wszystkie żony kandydatów, i panie chodziły po sali je sprzedając. Potem ten model powielano wiele razy i ta inicjatywa Danki przyniosła duże pieniądze dla naszej kampanii. Bo przecież trudno jest odmówić kupna cegiełki, gdy prosi o to żona kandydata. Istotne też było, że w czasie tych kwest Danka dawała się poznawać ludziom, co stwarzało bardzo istotny element bezpośredniego kontaktu i zaufania.

Niedziela, 14 maja była dniem trudnym. Iwo przyjechał z Warszawy. Pojechaliśmy najpierw do Kamiennej Góry i stamtąd poszliśmy na pieszą pielgrzymkę do Krzeszowa. Krzeszów jest to stary kościół Piastów Śląskich, z obrazem Matki Boskiej, do którego odbywa się doroczna pielgrzymka właśnie w połowie maja. W poprzednich latach te pielgrzymki były zakazane i zatrzymano je wszystkimi możliwymi sposobami. Opowiadał mi ksiądz, posiadający uprawnienia przewodnika, że szedł z grupą osób górskim szlakiem turystycznym, aby ominąć drogi publiczne. Ale ich i tam zatrzymano. Wzywano ich do rozejścia się w sytuacji, w której rozejść się nie mogli, bo przecież szli górską ścieżką. A to traktowano jako opór władzy i pretekst do zatrzymań. Dopiero w tym roku, po raz pierwszy była to pielgrzymka legalna. Tym razem milicja jechała przed nami i za nami, zatrzymywała na skrzyżowaniach ruch samochodowy, i opiekowała się nami do końca.

Zatrzymujemy się po drodze w Czadrowie, w kościele. Idziemy do księdza na kawę. Warunki, w jakich ksiądz żyje, są rozpaczliwe. Pokój, bez żadnych wygód, wynajęty w jakimś gospodarstwie, w biednej wiosce.

Po krótkim odpoczynku idziemy dalej. Kiedy doszliśmy już do Krzeszowa, Danka z księdzem, prowadzącym naszą grupę, podeszła do milicjantów i przypięła im znaczki

„Solidarności”. Milicjanci mieli łzy w oczach. Powiedzieli, że to będą ich najpiękniejsze pamiątki, bo one oznaczają, że zostali przyjęci do społeczeństwa, przeciwko któremu musieli dotąd działać. Kolejny wzruszający moment. Drugi taki przeżyłem rok później, gdy w święcie 3-go Maja w Lubaniu uczestniczył po raz pierwszy oddział milicji i wojska. Dla tych ludzi to były milowe kroki w zasypywaniu tych podziałów, jakie komunizm stworzył.

Wielki kościół w Krzeszowie powoli się wypełnia pielgrzymkami, nadchodzącymi z różnych części kraju, głównie oczywiście z Dolnego Śląska. Krzeszów leżał na pograniczu województwa wałbrzyskiego. Przychodzi więc również grupa z Wałbrzycha razem z kandydatami Komitetu Obywatelskiego z tamtego województwa. Spotykamy się z Jankiem Lityńskim, który był zaprzyjaźniony z naszą córką. Ksiądz wygłasza dosyć delikatne kazanie, wykazując duży umiar i starając się dystansować od wydarzeń politycznych. Jakkolwiek siedzimy w stallach, to nie jesteśmy wcale w jakiś sposób uhonorowani. Po wyjściu z kościoła staramy się szybko zorganizować jakiś ad hoc wiec. Mamy jakieś megafony, którymi staramy się skrzyknąć trochę ludzi. Wchodzę na jakiejś krzesło czy stołek. Coś przemawiam. Niektórzy ludzie słuchają, drudzy nie. Powoli się rozchodzą. Część się rozeszła się od razu. To nie było dobre spotkanie, ale zawsze coś może do ludzi trafiło.

W międzyczasie wywołały mnie siostrzyczki z zakonu żeńskiego, który się opiekował chorymi i starcami. Miałem więc spotkanie wyborcze z zakonnicami. Starałem się im trochę opowiedzieć, o co nam chodzi. Obiecały, że zadbają żeby w głosowaniu wzięli udział wszyscy podopieczni, nie mówiąc o zakonnicach. Trochę głosów zapewniliśmy sobie.

Zjedliśmy szybko, co nam dali i błyskawicznie jedziemy samochodem do Bolesławca, bo tam o 16-tej ma być msza polowa na stadionie z udziałem biskupa. Potem ma być spotkanie z kandydatami. Jedziemy szybko na skróty, bo z Krzeszowa do Bolesławca to jednak jest dość duża odległość. Wpadamy na miejsce na chwilę przed terminem. Biskup jedzie pierwszy na stadion, my chwilę po nim i siadamy z boku. Na stadionie jest 2-3 tysiące osób. Nie najlepsza organizacja. Po Mszy mamy mieć wiec wyborczy. Ale cały szereg osób zaczyna wychodzić, nie bardzo słucha, nie bardzo wie, o co chodzi. Jednak zatrzymaliśmy trochę ludzi, ale trudno było nawiązać bezpośredni kontakt. Na stadionie zbyt duża odległość dzieli mówiących ze środka boiska od ludzi na trybunach. Ale mówimy przez megafony, przynoszą nam kartki z pytaniami, staramy się odpowiadać. Ale kontaktu nie ma.

Ale najważniejsze było potem. Uformował się pochód i przeszliśmy przez całe miasto. Jako kandydaci szliśmy na czele tego dwutysięcznego pochodu. Danka była oczywiście przy mnie. Było chłodno, szliśmy w kurtkach. Za nami transparenty „Solidarności”. Skandowaliśmy: „Solidarność”, „Solidarność”, „Dziś nie biją, chodźcie z nami”. Śpiewali wszyscy: „ Ole, ole, nie damy się, nie damy się”. Policja odmówiła opiekowania się pochodem. Szliśmy na własną odpowiedzialność.

To było duże wydarzenie. Wiele osób szło z nami. Wiele innych patrzyło z okien. Niektórzy bili brawo, inni patrzyli z niepokojem i niedowierzaniem. A nam właśnie chodziło o przełamanie powszechnego strachu. Marszem wykazywaliśmy, że można domagać się zmiany ustroju, że możemy wyrażać głośno i publicznie nasze poglądy, czego dotąd nie było wolno. To był podstawowy cel: przełamać strach i ograniczenia myśli narzucone przez władze. Przełamać tabu.

Potem przyszedł niebezpieczny moment. Nie mieliśmy koncepcji jak rozwiązać pochód i baliśmy się czy rozgrzani śpiewem i okrzykami ludzie rozejdą się w spokoju do domów. Baliśmy się jakiejś prowokacji. Przecież jakiekolwiek zamieszki mogłyby przekreślić całą kampanię. Ale udało się. Pod lokalem Komitetu Obywatelskiego, stanęliśmy na jakimś murku, czy na jakichś schodkach, odśpiewaliśmy jeszcze jakąś piosenkę i pożegnaliśmy się: do widzenia, do widzenia. I ludzie rozeszli się spokojnie.

To było duże przeżycie dla nas wszystkich. Pierwsza manifestacja środkiem głównej ulicy, z okrzykami, śpiewem i wołaniem do ludzi w oknach. To było dobre wydarzenie. Było to dla nas ważne, bo „Solidarność" z Bolesławca podporządkowała się Wrocławiowi, a nie Jeleniej Górze i istniały jakieś miejscowe napięcia. Ten marsz bardzo pomógł Jankowi Kisilijczykowi, który był kandydatem bolesławieckim.

Następnego dnia, w poniedziałek, o 11-tej jesteśmy w „Celwiskozie". Potem jadę do Wrocławia, gdzie mam wystąpienie w telewizji. Ale najgorsze, że zaczynam tracić głos. Nadszarpnąłem go sobie pielgrzymką i śpiewami w Bolesławcu i teraz mam straszne trudności w mówieniu. Nieszczęście, bo przecież cała kampania się opiera na kontaktach osobistych, bo przecież nie mamy żadnego dojścia do środków masowego przekazu. Pojechałem do telewizji do Wrocławia z Iwem i ze strasznymi trudnościami wypełniłem trzyminutowy program. Był to jedyny mój program w czasie kampanii wyborczej. Po nim już straciłem całkowicie glos. Danka, która była też ze mną, jest też przerażona.

Wracamy do Jeleniej Góry, gdzie miałem mieć spotkania w parafiach. Ale okazuje się, że nie mogę mówić. Muszę z nich zrezygnować. Jedzie tam Romek Niegosz z Andrzejem Piesiakiem. A ja idę do miejscowego laryngologa. Pani doktor Mazur robi dla mnie wszystko co może. Nawet po nocy otwiera apteki. Robi jakieś zabiegi, daje mi pigułki, i obiecuje że będzie dobrze, tylko, żebym przez kilka dni oszczędzał głos. Rady dobre. Ale jak je spełnić?

Danka tego dnia wieczorem wyjeżdża do Warszawy. A ja wiem, że muszę przetrzymać jeszcze jeden dzień. I to dzień pełen spotkań. Później mam wyjechać do Krakowa. Mam nadzieję, że te dwa dni przerwy pozwolą odzyskać głos.

Jedziemy do Fabryki Dywanów w Kowarach. Dyrektor tej Fabryki jest również naszym konkurentem. Startuje z list PZPR. Powstała dość zabawna sytuacja, gdyż nasze spotkanie wyborcze ma się odbyć właśnie w jego fabryce. Zagrał w sposób zupełnie nieoczekiwany. Po

prostu starał się przypisać do nas, tworząc wrażenie, że wspólnie kandydujemy w wyborach. Musiałem się dosyć wyraźnie odciąć od niego, mocno podkreślając nasze dążenie do zmiany ustroju. Spotkanie było w świetlicy fabrycznej, ale było transmitowane przez radiowęzeł, tak, że słyszała cała załoga. Dyrektor nie był więc zadowolony, bo ostateczny efekt spotkania, był zupełnie inny niż się spodziewał.

Tu mała ciekawostka. Nasz kontrkandydat jako jeden z argumentów wyborczych używał faktu, że fabryka produkowała makatki z Matką Boską. Więc niby pracował dla Kościoła, w związku z tym zasługiwał na zaufanie.

O 17-tej wiec pod kinem na Rynku. Tu się zaczęły na dobre moje kłopoty z głosem. W fabryce mówiłem do mikrofonu więc mogłem szeptać. Jednak zupełnie coś innego jest przemawiać na otwartym powietrzu. Napisałem więc krótki tekst, który w moim imieniu odczytał Iwo. Ale myliłem się sądząc że to zadowoli publiczność. Pytania posypały się jak z rękawa i ludzie żądali, żebym odpowiadał osobiście, bo oni chcą usłyszeć mnie samego, bo „takiego niemego nie mogą wybrać do Senatu". Przecież jak ja nie mogę mówić, to jaki będą mieli ze mnie za pożytek w Senacie? Więc musiałem szeptać do mikrofonu. Jakoś się udało, i jakoś głos mi wytrzymał.

Nocą jadę do Krakowa na spotkanie z grupą Amerykanów z Uniwersytetu Johns Hopkinsa z Baltimore. Mieliśmy z tym Uniwersytetem dobrą współpracę. W 1988 roku spędziłem tam cały semestr prowadząc wykłady i studiując organizacje amerykańskich instytucji samorządowych. Powstała możliwość, że w kolejnych latach mogą być zapraszani inni moi współpracownicy. Trzeba jednak omówić szczegóły, a przede wszystkim wykazać, że stanowimy silny zespół, złożony z samodzielnych pracowników naukowych, z którym warto współpracować.

Spotykam ich w Krakowie i razem autobusem jedziemy do Piotrkowa, gdzie mój Zakład z Uniwersytetu Łódzkiego zorganizował wspólne seminarium. Spotkanie zakończyło się sukcesem i kilka osób kolejno wyjeżdżało później do USA na kilkumiesięczne staże.

19-ego wieczorem wracam nocnym pociągiem do Jeleniej Góry, bo muszę tam być rano. I ta podróż miała fatalny przebieg. Nie bardzo zdając sobie sprawę, gdzie dokładnie będzie to seminarium, i którą trasą jedzie pociąg, zamówiłem bilet sypialny z Koluszek. Tymczasem okazało się, że z tego miejsca, gdzieśmy byli, do Koluszek był trudny dojazd, a do Piotrkowa bardzo łatwy. Pojechałem więc do Piotrkowa. Ale jak pociąg przyszedł, to się okazało, że już sprzedano moje miejsce, ponieważ nie było mnie w Koluszkach. No i przez kilka godzin siedziałem na stołku na korytarzu, bujając się i podpierając nosem, zupełnie nieprzytomny. Dopiero gdzieś o 5 rano zwolniło się jakieś miejsce i parę godzin się jeszcze przespałem na łóżku. Dojechałem nie bardzo przytomny, a czekał mnie bardzo intensywny dzień. Dobrze, że głos już wrócił.

20-tego maja były trzy kolejne spotkania. O 14 byliśmy w Orłowicy. Spotkanie z Komitetem Obywatelskim w świetlicy. Około 50 ludzi. Potem o 15.30 mieliśmy spotkanie z dziećmi w kościele w Świeradowie. Kościół w Świeradowie jest architektonicznie bardzo ciekawy. Do starego kościoła dobudowano nowy i powstała interesująca mieszanka architektoniczna. Komitet Obywatelski w Świeradowie był świetnie zorganizowany, bardzo sprawnie prowadził kampanię i stanowił jeden z ważnych punktów naszego wsparcia. Przygotowano występy dzieci, a nam zabrakło czasu, żeby je w całości obejrzeć. O 18-ej mieliśmy umówione w Węglińcu spotkanie z kolejarzami, blisko 100 kilometrów ze Świeradowa. Byliśmy moim samochodem, ja byłem kierowcą, więc musiałem jechać. Zostawiliśmy więc Romka Niegosza, ale organizatorzy mieli do nas żal. I słusznie.

Węgliniec to kolejarska gmina. Same lasy, a w środku węzeł kolejowy. Bardzo silny zespół związkowy. Wiedzą czego chcą i są zdecydowani to realizować. Bardzo ciekawa dyskusja.

20 maja już mieliśmy odbytych 25 spotkań, w których, według mojego szacunku, wzięło udział około 5.700 ludzi. To w większości były małe spotkania, więc i kontakt z tymi ludźmi był bezpośredni. Wiele się z tych spotkań nauczyłem. Wyłaniał się obraz Polski i polskiego społeczeństwa zupełnie różny od tego który miałem patrząc z Warszawy. I ten obraz utwierdzał mnie jeszcze mocniej w przekonaniu, że samorząd w Polsce jest konieczny, bo kraj mogą zmienić tylko ludzie w bezpośrednim działaniu. I nabierałem pewności, że ludzie są do tego zdolni. Społeczeństwu należy wierzyć i mieć do niego zaufanie.

21, niedziela, seria czterech spotkań. Najpierw msza w Siedlęcinie i wiec po mszy. Następnie, o 11-tej wiec pod kościołem w Bukowcu. Potem o 13. narada całego zespołu nad kierunkami dalszych działań. Wreszcie o 18-tej spotkanie w Bogatyni, na drugim końcu województwa,.

Te spotkania pod kościołami miały swoją specyfikę. Różnie były przygotowane. Czasami księża zapowiadali w czasie kazania, że będzie spotkanie po nabożeństwie. Czasami nie mówili nic. A nawet jak zapowiadali, to ludzie nie bardzo wiedzieli jak to będzie wyglądało i o co chodzi. Często nie wierzyli, że w ogóle przyjedziemy. Nie bardzo też ludzi interesowało, co powiemy, bo spodziewali się jakiejś masówki, jakie organizowano w tamtych czasach. A poza tym bali się, że znowu będą mieli do czynienia z milicją czy UB.

Musieliśmy wyćwiczyć pewien sposób postępowania. Gdy tłum wychodził z kościoła to trzeba go było zatrzymać na przestrzeni kilkudziesięciu metrów, żeby ludzie nie rozeszli się do domów. Trzeba więc było w odpowiednim momencie zacząć mówić, wystarczająco głośno, żeby usłyszeli. I trzeba było coś takiego powiedzieć zaraz w pierwszych zdaniach aby ludzi zainteresować. Najlepiej było ich czymś zaskoczyć, bo czas grał rolę. Jeśli choć kilka osób się zatrzymało, to robił się zator i następni musieli się też zatrzymać. I to chwilowe zatrzymanie trzeba było wykorzystać żeby ludzi zaciekawić i żeby zaczęli słuchać. Nauczyliśmy się tego i na

ogół nam się to dobrze udawało. Po prostu mówiliśmy, że przyjechaliśmy tu po to, żeby uzyskać poparcie ludzi, bo chcemy zmienić ustrój. Mówiliśmy, ze po prostu komunizm nam się nie podoba, że byliśmy i jesteśmy przeciwnikami tego ustroju. Reakcje ludzi były bardzo różne. Jedni z zainteresowaniem słuchali i nawet zadawali pytania. Część, rozglądając się trwożnie dookoła, umykała. Przecież było dla nich jasne, że musi za chwilę zjawić się milicja, że musi się zjawić UB, że przecież czegoś podobnego oni w życiu nie słyszeli. Inni zamierali w oczekiwaniu, bo przecież takich oświadczeń nigdy w życiu nie słyszeli.

Miałem poczucie, że budzimy Polskę, budzimy ludzi z jakiegoś letargu, w który ich wprowadził komunizm. Ludzie byli ogarnięci nie tylko strachem, ale przede wszystkim poczuciem beznadziejności i niewiary w możliwość jakiejkolwiek zmiany. Nie śmieli nawet pomyśleć, że oni sami mogą do takiej zmiany się przyczynić. Tkwili w tym bezruchu, zobojętnieniu i poczuciu bezradności. I nagle zjawialiśmy się my i mówiliśmy, że przyszłość zależy od nich samych i że mogą mieć na nią wpływ. W miarę jak mówiliśmy, widziałem jak w wielu oczach pojawiają się jakieś ogniki. Ludzie zaczynali się ruszać, zaczynali reagować, zaczynali się budzić. To wrażenie budzenia narodu zostało w mej pamięci jako jedno z najsilniejszych wrażeń tej kampanii.

Z biegiem czasu układały się nam tak treści, jak i forma i organizacja wypowiedzi. Najwięcej jeździliśmy razem z Andrzejem Piesiakiem, kandydatem do senatu. W rejonie Jeleniej Góry towarzyszył nam Roman Niegosz, który kandydował z tego okręgu do sejmu. A w rejonie Bolesławca i Zgorzelca prowadziliśmy kampanię razem z Kisilijczykiem i Bobakiem. Miałem z pośród nas wszystkich największą rutynę w wystąpieniach publicznych i w zależności od sytuacji byłem wysuwany albo na początek, albo na koniec wystąpień. No ogół mówiłem ostatni. Ale gdy mieliśmy wiece pod kościołami, i gdy trzeba było zatrzymać wychodzących, to często ja zaczynałem nasze wystąpienia. Często zaczynał Andrzej Piesiak, który mówił nieźle, potem był Roman, albo tamci dwaj. Tu muszę wspomnieć o roli Romka Niegosza w naszej kampanii. Nie był wielkim mówcą, ale potrafił rozsądnie i spokojnie zabrać głos. Ale znaczenie jego udziału polegało na czym innym. On miał ogromny prestiż społeczny, był powszechnie znany, a przede wszystkim cieszył się wielkim zaufaniem. Ja byłem obcy i choć z biegiem czasu spotykałem się z coraz większą sympatią, potrzebowałem wsparcia człowieka miejscowego, któremu wszyscy wierzyli. I to gwarantował mnie i nam wszystkim Romek. Bez jego wsparcia nigdy bym nie uzyskał dobrego wyniku. Udział Romka był dla nas równie cenny jak i plakaty ze zdjęciem z Wałęsą.

22 maja, w poniedziałek mieliśmy znowu dwa spotkania, a właściwie było ich więcej, tylko nie mogliśmy wszystkich obsłużyć. Brakowało czasu. O 16.30 byliśmy w Zawidowie, małym miasteczku w górach, nad granicą. 3000 mieszkańców, z tego co najmniej 300 było w sali kinowej. A więc jedna dziesiąta miasteczka przyszła się z nami spotkać. Byłem pod wrażeniem zaangażowania tych ludzi i bardzo żywej reakcji. Mieliśmy tam być od 16.30 do 18, a o 18.30

mieliśmy już drugie spotkanie w Sulikowie, w kościele. Tymczasem w Zawidowie znowu pojawił się przedstawiciel rolników indywidualnych pan Ciosek, który chciał się włączyć do naszej kampanii. Miejscowi ludzie powiedzieli, że go nie chcą słuchać. Zrobiliśmy coś w rodzaju głosowania. Przegrał i wyszedł obrażony. Ale zebranie przeciągnęło się dłużej.

Do Sulikowa więc został wysłany najpierw Zbyszek Bobak, który miał zatrzymać tamtych zebranych już ludzi. Spóźniliśmy się o godzinę. 100 ludzi w kościele na nas czekało. Bobak ich zabawiał. Gdy przyjechaliśmy on pojechał do następnego kościoła, gdzie następni ludzie już na nas również czekali. Niestety już tam żeśmy nie dojechali. Sulików nam znowu zabrał sporo czasu.

23 maja, wtorek. Mieliśmy spotkania w Bolesławcu i Zgorzelcu. Ustawiliśmy tak kampanię, że początkowo mieliśmy spotkania w regionie Jeleniej Góry. Natomiast później, w końcu maja przenieśliśmy się w rejon Zgorzelca i Bolesławca.

Najpierw pojechaliśmy do studium nauczycielskiego i liceum ogólnokształcącego w Bolesławcu, gdzie spotkaliśmy się z nauczycielami i uczniami. To nie był dobry okres na spotkania. W tym czasie były matury. Więc końcowe klasy, złożone już z wyborców, właściwie były wyłączone z kampanii. Uczestniczyło jedynie trochę starszych uczniów z klas trzecich, ale w stosunkowo niewielkiej liczbie. W szkołach mieliśmy różne sytuacje. Dyrekcje i kuratorzy na ogół nam kontakty utrudniali. Natomiast istniały zaangażowane grupy nauczycieli, które organizowały nam spotkania. W jednym przypadku pozwolono nam się spotkać z młodzieżą, ale po godzinach lekcyjnych, podczas kiedy sekretarz partii, który również był kandydatem, miał wielkie spotkanie z całą młodzieżą w czasie godzin lekcyjnych. Ale było jasne, że startowaliśmy z pozycji słabego. I uważano, że i tak dają nam bardzo dużo wolności, ponieważ nas nie prześladuje UB.

W Bolesławcu mieliśmy specjalne ułatwienia dzięki pani Danucie Maślickiej, polonistce, która nie tylko była szalenie zaangażowana w naszą kampanię ale i cieszyła się wielki uznaniem wśród lokalnej elity. A więc o 11 spotkanie w Bolesławcu, już 30-te w ramach kampanii. Potem pojechaliśmy do Zgorzelca. W Fabryce Famago byliśmy o 14-tej. O 16-tej znowu w spotkanie z nauczycielami, tym razem zgorzeleckimi, w Klubie Nauczycielskim. Mała frekwencja, nauczyciele wykazywali dużą dozę ostrożności.

I potem, o 19-tej, w hali sportowej wielki wiec z mieszkańcami Zgorzelca. Było około 800 ludzi. Bardzo dobre spotkanie, które było dużym sukcesem i organizatorów i naszym. Siedzieliśmy każdy przy odrębnym stoliku z wypisanym wyraźnie nazwiskiem. To już było wtedy 33 spotkanie i według moich szacunków uczestniczyło w dotychczasowych około 7700 ludzi.

Środa, 24 maja. Wyjazd do Pieńska do huty szkła. Przez trzy godziny szliśmy przez hale fabryczne, od jednego stanowiska do drugiego, rozmawialiśmy z poszczególnymi ludźmi, pytaliśmy się o warunki pracy, które były zupełnie tragiczne. Huta pracowała technologią z XIX wieku. Ludzie pracowali w upale, zatruwani gazami, jak niewolnicy. Straszliwe wrażenia.

Rozmawiałem z robotnikiem, który produkował formy do produkcji abażurów szklanych. Strasznie ciężkie one były. Pytam się go jaki ciężar on codziennie przerzuca. Podał mi jakąś nieprawdopodobną liczbę ton, którą on musi własnymi siłami przenieść. I mówię: jak pan daje radę? A on na to: no wie pan, jak byłem młody, to dobrze było, ale teraz już jestem starszy, już mi jest ciężko. Ja już skończyłem 40 lat, to już nie jestem młodym człowiekiem. Rzeczywiście wyglądał na 70-letnigo starca.

O 16-tej, w domu kultury zorganizowany cały wielki show. Występy dzieci, konkursy tańca młodzieży. W międzyczasie my występujemy jako gwiazdy. Piękne spotkanie na nasz benefis. Rzeczywiście to jedno z najsilniejszych wspomnień.

I wreszcie, o 19-tej, a właściwie to już było znacznie później, pojechaliśmy do szkoły w Wieruszowie. Środek wielkich lasów dolnośląskich, skrzyżowanie dróg, szkoła, leśnictwo, i cztery chałupy na krzyż. Oczekiwało nas kierownictwo szkoły. Ale też trochę podpitych miejscowych gospodarzy. Zrobiła na mnie wielkie wrażenie pani Maria Karwowska, nauczycielka, ówczesna radna, niesłychanie zaangażowana w sprawy społeczne. Chciałem ją później włączyć w program wyjazdów zagranicznych. Niestety napotkałem na niezrozumiałe dla mnie jej opory. Nie miałem możliwości ich wyjaśnienia. Tempo życia było za duże. Żałuję bardzo, bo chciałem jakoś jej pomóc i uznaniu tego, co robiła.

Wróciliśmy do domu po północy, ale pani Niegoszowa ciągle na nas czekała z kolacją. Znaczenie Jej opieki uwidaczniało się właśnie w takich momentach, gdy wracaliśmy późno i skrajnie wyczerpani potrzebowaliśmy tej domowej atmosfery, która pozwalała odetchnąć.

Tego dnia postało w mojej świadomości nowe uczucie, które mnie później już przez całą pozostałą część kampanii nie odstępowało. Zacząłem się obawiać czy przypadkiem ja tych ludzi nie wprowadzam w błąd. Po prostu zdałem sobie sprawę, że jeżeli wygramy wybory, to będziemy w stanie w jakiś sposób modyfikować ustrój. Nigdy nie przewidywałem tego, że za parę miesięcy będę pracował w rządzie. Ale wierzyłem, że uda się mam w jakiś sposób ustrój zmienić. Ale od zmiany ustroju do zmiany warunków życia tych ludzi, tych szklarzy w Pieńsku, czy nauczycielek w Wieruszowie musi upłynąć wiele lat. I zdawałem sobie sprawę, że jeśli będę nawet członkiem parlamentu przez 4 lata, to za cztery lata, jak przyjadę, to tym ludziom w Pieńsku nic, albo bardzo nie wiele się zmieni. I to było jakieś poczucie, że gram z nimi nie fair. Ale z drugiej strony, jeśli oni mnie nie poprą, jeżeli my nie wygramy wyborów, to oni będą skazani na to, że pozostanie tak jeszcze wiele, wiele lat i to bez żadnej nadziei na zmianę. Więc musiałem ich zapewniać, że będzie dla nich lepiej. Ale nurtowało mnie pytanie: kiedy to się stanie? Ile czasu będzie musiało upłynąć, aby nastąpiły rzeczywiste zmiany w życiu tych ludzi? I właśnie sprawa tego czasu bardzo mi wtedy ciążyła. I wielokrotnie w prywatnych rozmowach zastanawiałem się, czy gram uczciwie. Ale gra polityczna jest grą, tu chodziło o walkę. Trzeba było wygrać, żeby cokolwiek zrobić.

25 maja był czwartek i Boże Ciało. Przyjechała Danka z Warszawy. Przywiozła następną partię materiałów propagandowych, różnych plakatów i afiszów. Jak zawsze jechała wagonem sypialnym. Ale tym razem miała niespodziewaną przygodę. Konduktor jak zobaczył cały jej ładunek to się wystraszył i zaprotestował. Obawiał się, że to jest nielegalna bibuła i on może mieć jakieś przykrości. Zupełnie nie zdawał sobie sprawy ze zmian zachodzących w kraju. Było to typowe dla bardzo wielu osób.

Najpierw o 9-tej mieliśmy spotkanie we wsi Sobota pod kościołem. Fatalnie zorganizowane. Ludzie szli do kościoła, myśmy ich zatrzymywali, a oni nie bardzo wiedzieli po co i czego my od nich chcemy. Traktowali nas jako natrętów, którzy coś od nich chcą wytargować albo ich w coś w manewrować. Pogadaliśmy sobie tak trochę w małych grupkach, rozjechaliśmy się.

Natomiast kolejny ewenement to procesja Bożego Ciała we Lwówku. To było wielkie przeżycie. Zostaliśmy zaproszeni przez księdza do stalli, przy ołtarzu, usiedliśmy, była msza. Potem było wyjście z kościoła na procesję. I tutaj miałem niespodziewaną przygodę. Ruszyliśmy zaraz za księdzem we czwórkę, razem z Bobakiem, Kisilijczykiem, i Piesiakiem. Oczywiście Danka była z nami. Jednak ledwie wyszliśmy z ławek, to nagle z boku jakaś kobieta pchnęła mi to dziecko pod nogi. Zatrzymałem się, i to wystarczyło, żeby tłum rozdzielił mnie od księdza, monstrancji i pozostałych osób. Zanim doszliśmy do końca kościoła to ta odległość, która się stale powiększała, już była tak duża, że wyszedłem jeden prawie z ostatnich w tłumie z kościoła. Ksiądz był o dobre kilkaset metrów z przodu. No zacząłem go gonić to przepychając się między ludźmi, to obiegając procesję pod murami. Musiałem jak najszybciej dopaść do czoła, bo przecież ludzie mają mnie widzieć, oni mają na mnie patrzeć, oni mają na mnie głosować. Już przy pierwszym ołtarzu dołączyłem do czoła. Obeszliśmy rynek od ołtarza, do ołtarza. Śpiewy, wszystkie okna pełne ludzi.

Powracamy pod kościół, tam stoi już zorganizowane podium na jakieś przyczepie. Są zainstalowane megafony. Wchodzimy na nie, odbywa się regularny, wielki wiec, bardzo dobry, z bardzo żywą reakcją ludzi, z pytaniami, odpowiedziami. Ten wiec trwał dosyć długo. Jak żeśmy liczyli, uczestniczyło w nim około półtora tysiąca, nie licząc oczywiście paru tysięcy, którzy uczestniczyli w procesji. Zjedliśmy obiad u księdza i na 16.30 pojechaliśmy do Płuczków Górnych. Znowu spotkanie pod kościołem, bez specjalnych rewelacji, ale 100 ludzi było.

25 wieczorem osiągnąłem stan 10 tysięcy ludzi uczestniczących w zebraniach, w których brałem udział.

Tu trzeba wspomnieć, o tych wszystkich przeskokach pomiędzy miejscowościami. Pomiędzy jednym a drugim spotkaniem trzeba było z reguły pokonać kilkadziesiąt kilometrów krętymi, bocznymi drogami. Cała operacja była skomplikowana i wymagała dobrego planowania. Mieliśmy tylko dwa samochody w Jeleniej Górze. Bobak i Kisilijczyk byli obsługiwani przez

prywatnych ludzi, którzy ich podwozili własnymi samochodami. Trzeba było to wszystko zaprogramować, ale również trzeba było pokonać te setki kilometrów. Nie mieliśmy kierowców. Starałem się oszczędzać siebie i jak tylko był inny kierowca to prowadził. Zawsze Iwo i Włodek, gdy byli to mnie zastępowali. Ale często nie było zastępstwa i między spotkaniami musiałem prowadzić samochód. To było naprawdę ciężkie. Nie wiem ile kilometrów zrobiliśmy w czasie kampanii. Pewno z 10.000 albo i więcej. Były dni, gdy robiliśmy duże kilkaset. 100 km – to był bardzo słaby dzień!

Zjeździliśmy cały region we wszystkich kierunkach. Był maj i zbocza wzgórz pokrywały żółte pola kwitnącego rzepaku. Tego nie ma w innych regionach Polski. Kwitnący rzepak zawsze będzie się mi kojarzył z wyborami.

W tych naszych przejazdach ważną sprawą było jedzenie obiadów. Jeżeli były jakieś spotkania w kościołach, to z reguły księża zapraszali nas na kolację czy obiad. Jeżeli przerzucaliśmy się między spotkaniami, to gdzieś trzeba było jadać po jakiś różnych restauracjach. Że nikt z nas nie zachorował, nikt się nie zatruł, to naprawdę był cud. Z reguły chcieliśmy jeść coś najszybszego i względnie dietetycznego. W końcu, głównie jedliśmy kotlety panierowane schabowe i bardzo się z tego śmieliśmy. Na ogół restauratorzy byli bardzo przyjaźni i szkli nam na rękę widząc jak się spieszymy. Ale były i doświadczenia złe. Kiedyś we Wleniu chcieliśmy coś zjeść i okazało się, że jest to po prostu niemożliwe. Restauracja pełna pijanych ludzi a panienka za barem nalewa tylko wódkę w kieliszki. Do jedzenia nic nie ma, a jakby było to i tak strach byłoby to wziąć do ust. Całe spotkanie odbyło się na głodnego.

26 maja. Piątek. To był właściwie luźny dzień, jakoś tak między świętami został pusty, nie był obsadzony. Mieliśmy jedno spotkanie w liceum w Bolesławcu, ale mało udane. Było tylko 20 osób. Natomiast potem zostaliśmy zaproszeni do mieszkania państwa Maślickich. Pani Maślicka, obecna radna miasta Bolesławiec, wtedy była główną organizatorką naszej kampanii w Bolesławcu. Działała na rzecz Kisilijczyka. Jest nauczycielką, posiada stopień doktora. Bodajże jedyna nauczycielka z tym stopniem w Bolesławcu. Ma bardzo ładną historię opozycyjną. W przeszłości nawet miała zakaz nauczania w liceach i była skierowana do jakiejś szkoły podstawowej, bardzo daleko poza Bolesławcem. Zmiana sytuacji politycznej pozwoliła jej na powrót do liceum. To jest jedna z tych osób dzięki którym mogliśmy wygrać wybory. Bardzo było spotkanie ciekawe i byliśmy pod pełnym urokiem ich mieszkania i organizacji.

27 maj. To już tylko tydzień do wyborów. Znowu trzy spotkania. I to duże. Najpierw pojechaliśmy do Wojcieszowa z Danką. Takie typowe spotkanie 100 osobowe. Potem pojechaliśmy do Wlenia, gdzie odbywały się wtedy „ Dni Wlenia”. Spotkanie było na rynku. Grały różne orkiestry jazzowe, były wystąpienia młodzieży i między nimi byliśmy również wpasowani. Ale to nie było dobre spotkanie. Miasteczko skłócone. Te konflikty przeniosły się zresztą na okres wyborów samorządowych w następnym roku i dalsze podziały w radzie miejskiej.

Straszna liczba pijaków. Wszędzie chodzili ludzie podpici. Jakieś takie wrażenie ogólnej degrengolady, braku jakiejkolwiek organizacji społeczności, której nie było śladu. Takie widoki powodowały powracanie pytania: czy Polacy potrafią wykorzystać przywracaną wolność?

Spieszyliśmy się bardzo, bo zaraz potem mieliśmy wielki ewenement, największe spotkanie w czasie kampanii, w Jeleniej Górze na stadionie, z Anką Nehrebecką i Ives Montandem.

Tu trzeba kilka słów wyjaśnienia. Iwo Byczewski, przez powiązania osobiste został organizatorem pobytu Ives Montanda w Polsce. Oczywiście załatwił tak, że Ives Montand przyjechał głównie na Śląsk i miał być w Jeleniej Górze. Wiec z jego udziałem wymagał dużej organizacji. Wynajęliśmy cały stadion. Osobami wprowadzającymi i atrakcją był Ives Montand i Anka Nehrebecka, znana aktorka i żona Iwa. Afisze na mieście głosiły: „Ives Montand, Anna Nehrebecka zapraszają na spotkanie z kandydatami". Jednak do ostatniej chwili nie było pewności - przyjedzie, nie przyjedzie, zdąży, nie zdąży. Legnica, która dysponowała jego czasem w tym dniu, chciała przedłużyć pobyt Ives Montanda w tym mieście kosztem nas. Myśmy cały czas telefonicznie naciskali, żeby zdążył na wieczór. Wiec miał się rozpocząć o 6-ej. Na szczęście zdążył.

Ale o mały włos nie doszło do wielkiej prowokacji ze strony Służby Bezpieczeństwa. Zupełnie przypadkowo dowiedzieliśmy się, że wynajęto ten sam stadion półtorej godziny wcześniej na jakiś mecz trampkarzy. Nasza służba porządkowa była zorganizowana przez robotniczą „Solidarność" i miała przyjść wcześniej, aby uporządkować stadion, zmontować megafony i tak dalej. Potrzebowali na to, co najmniej godziny i było oczywiście, że to by się nałożyło na ten mecz. Kolizja oczywista, bo robotnicy zaczęliby spędzać z boiska trampkarzy i powstałby powód do interwencji milicji. A im przecież o to tylko chodziło.

Gdy dowiedzieliśmy się o tym, Andrzej Piesiak zadzwonił do szefa UB miejscowego i zapytał czy sobie zdaje sprawę, do czego to prowadzi? I uprzedził, że to nie my będziemy ponosić odpowiedzialność za to, co się na stadionie stanie. A nasi robotnicy przyjdą i usuną wszystkich nie zależnie od tego czy będą chcieli zejść. UB się wystraszyło i tych trampkarzy skasowało. Ale aby podgrzać atmosferę od rana stale jeździła armatka wodna po mieście demonstrując siłę milicji i gotowość do interwencji. Bo po wiecu przewidywany był przemarsz przez miasto. Ciągle chodziło nam o to, aby ludzie przestali się bać. Żeby widzieli z okien, że „Solidarność" jest legalna i się nie boi publicznie występować.

Wszystko się odbyło dobrze, Ives Montand z Anką Nehrebecką przyjechali. Anka miała bardzo piękne wprowadzenie i nas przedstawiała ludziom. Ives Montand również powiedział parę słów. On nie miał śpiewać. Miał być tylko atrakcją, i dowodem międzynarodowego poparcia. Przemawialiśmy i my. Stadion dobrze reagował. Co prawda na stadionie trudno nawiązać kontakt

z ludźmi, ponieważ odległości są duże. Nas dzieliło od trybun ze sto metrów. Ludzi widzi się małych, twarzy nie widać.

A potem odbył się przemarsz i to był najważniejszy element naszej kampanii w Jeleniej Górze. Przeszliśmy dużą trasę od stadionu ulicą Wojska Polskiego a potem zakręciliśmy do Kościoła Garnizonowego. W pierwszym rzędzie szli kandydaci, Anka i Ives Montand. Za nami duży tłum ludzi. Liczyliśmy, że szło około 7 tysięcy. Śpiewaliśmy jak zawsze: „Ole, ole, nie damy się", „ Solidarność, Solidarność", „chodźcie z nami, dziś nie biją". No i skandowanie różnych haseł i naszych nazwisk, bo chodziło o to, żeby ludziom wbić w głowy mocno nasze nazwiska, żeby się ich nauczyli na pamięć i dobrze głosowali. Ives Montand to już starszy pan, nogi go bolały i cały czas się pytał jak daleko jeszcze. Skończyliśmy marsz pod kościołem, gdzie on i my wygłosiliśmy ostatnie słowa pożegnania do tłumu. Tłum się rozszedł bez żadnych nieprzyjemnych manifestacji.

Kościół Garnizonowy był naszą bazą, a właściwie mieszkanie księdza Stanisława, który tam szefował. Tam się spotykaliśmy w rzadkich wolnych chwilach, tam mieliśmy możność spokojnej rozmowy i tam czuliśmy się tak bardzo zaopiekowania. Pomoc księdza Boczania była dla nas nieoceniona.

Wiec i marsz przez miasto to były mocne wydarzenia, które zrobiły duże wrażenie. Ciągle czekaliśmy, co zrobi strona komunistyczna, żeby wprowadzić jakiś elementy walki wyborczej i ciągle się okazywało, że z tamtej strony jest zupełny brak akcji. Na dwa czy na trzy dni przed wyborami docent Borys, główny kandydat komunistyczny pojechał do Warszawy i podpisali z Rakowskim decyzję o likwidacji „Celwiskozy", fabryki niesłychanie zatruwającej powietrze w rejonie, o zamknięcie, której od szeregu lat walczyli ekolodzy. Na mieście pojawiły się takie krótkie afisze: „Telegram: „Celwiskoza" zamknięta. Podpisane: Rakowski i Borys". Ale to dużo nie pomogło.

Na naszych spotkaniach zadawano nam wiele pytań. Niektóre miały zdecydowanie prowokacyjny charakter. Jedno, często powtarzane, dotyczyło naszych afiszy z fotografią z Wałęsą, że to nie jest fair, bo my używamy autorytetu Wałęsy zamiast swego własnego. Odpowiadałem wtedy bardzo prosto: „To jest oczywiste, że my się naszego przywódcy nie wstydzimy, ani nasz przywódca nie wstydzi się nas. I my nie zakazujemy innym partiom, żeby robiły to samo. A to, że kandydaci z PZPR nie fotografują się z generałem Jaruzelskim, to jest ich sprawa. Może nie lubią Jaruzelskiego, albo Jaruzelski nie ma do nich zaufania? A my uważamy, że oni też powinni się z Jaruzelskim fotografować!" I taka odpowiedź wystarczała.

28 maja, niedziela, cztery dalsze spotkania. Najpierw pojechaliśmy do Piechowic, pod Jelenią Górą. Spotkanie w sali, 120 osób. Anka Nehrebecka pięknie nas przedstawiła. Potem było przemiłe spotkanie w Miłkowie, pod kościołem. Ksiądz wyszedł razem z ludźmi po Mszy i nas przywitał. Na małym placyku, na środku wsi spotkało się 150 osób. Anka nas przedstawiała.

Rozmawialiśmy w sposób nieformalny, na ulicy, na drodze przechodzącej przez wieś. Bardzo dobre spotkanie. Mieliśmy później potwierdzenie tej opinii poprzez rodzinę Olka Paszyńskiego.

No a potem kolejne wielkie wydarzenie – spotkanie w Lubaniu, w amfiteatrze. To wydarzenie, które mogłoby służyć jako podstawa do całej nowelki. Jedna szósta mieszkańców miasta była na tym spotkaniu, trzy tysiące osób z osiemnastotysięcznej miejscowości. Amfiteatr, położony na szczycie góry był nabity ludźmi.

Danka, jak zawsze, ruszyła w tłum sprzedając cegiełki. Rozmawia, ludzie ją zatrzymują, daje swoje autografy. Ta sprzedaż cegiełek obfitowała w wiele wzruszających momentów. W Lubaniu jakiś staruszek przyszedł do niej i mówi, że on by chciał cegiełkę, ale ma tylko 100 złotych. Tymczasem najmniejsza cegiełka była za 500 zł. Wyciągnął jakiś stary banknot, podarty i pogięty. Widać było, że trzymał go gdzieś schowany jako majątek „na czarną godzinę". Dał te sto złotych, a oczywiście Danka dała mu cegiełkę za 500 złotych, bo tańszych nie było. A przecież odmówić takiego datku z serca nie wolno było. Ale inni dawali znacznie więcej, tak, że to jakoś się potem bilansowało.

Anka rozpoczęła przemówienie, przedstawiając nas po kolei. Byliśmy wszyscy Piesiak, Bobak, Kisilijczyk i ja. A potem nagle przyszedł deszcz. Zrobiło się ciemno i lunęło, straszliwa ulewa. Widownia nie była zadaszona. Dach był tylko nad sceną. I wielu uczestników weszło na scenę. Zrobił się tłok. Reszta się pochowała pod drzewami, a parę w ogóle zrezygnowanych siedziało w strugach deszczu, czekając, kiedy deszcz przestanie padać. Pogoda była ciepła i taka letnia burza, gwałtowna, musiała być krótka.

I w tym tłoku na scenie powstało jakieś dziwne uczycie. Ten fizyczny kontakt w tłumie spowodował jakieś takie poczucie jedności. Wszyscy byli sobie bliscy i przyjacielscy. Wszyscy byliśmy jakoś zjednoczeni wspólną myślą i chęciami. Dawaliśmy autografy, ściskaliśmy sobie ręce. To było bardzo silne wrażenie. Do dziś te wspomnienie łączy mnie z Lubaniem. Ten związek pogłębił się w następnym roku, gdy uczestniczyliśmy w obchodach 3-go Maja, gdy wojsko i milicja pierwszy raz maszerowała razem z nami w pochodzie.

Deszcz przestał padać. Pokazało się słońce. Ludzie zajęli swoje miejsca. Kontynuowaliśmy spotkanie, a ta atmosfera jedności jakoś pozostała.

Wieczorem mieliśmy spotkanie w Gryfowie, pod kościołem. Tutaj włączyła się jedna z aktywistek miejscowych i wygłosiła przemówienie na temat listy krajowej. Sprawa skreślania tej listy stanowiła istotny element kampanii.

Lista krajowa obejmowała nazwiska 35 wybitnych przedstawicieli partii legalnych. Na listę głosowano w całym kraju. Dawniej to był automat gwarantujący wybór. Aby uzyskać mandat trzeba było uzyskać 50% głosów. Jak się tym razem okazało uzyskały ten próg jedynie dwie osoby. I to raczej przypadkowo. Reszta została skreślona.

Ta pani w Gryfowie wygłosiła przemówienie tej mniej więcej treści: to ja wam odpowiem, ludzie, jak skreślać: za to, że moje dzieci maja złą szkołę i są uczone o komunizmie – skreślić dwóch; za to, że ja nie mogłam kupić części zamiennych do mojego traktora – skreślić dwóch; za to, że ceny żyta są takie, jakie są i że się marnuje to nasze zebrane zboże w państwowych magazynach – to trzech skreślić. I tak dalej, i wyliczała taką całą litanię, ogłaszając ilu kandydatów komunistycznych skreślić i za co. Bardzo to było przekonywujące i ludziom się podobało. A ja się uczyłem, co ludzi najbardziej boli.

Wieczorem była kolacja w u księdza. I tutaj znowu anegdotka: ksiądz powiedział, że miał straszny sen. W nocy się obudził i mu się śniło, że on skreślił nie tych, co potrzeba. I tak się zdenerwował, że później spać nie mógł. To dobrze odzwierciedlało nasz podstawowy problem. Trzeba było uczyć ludzi jak i kogo skreślić. Okazało się bardzo szybko, że ludzi programy nie interesują. Wierzą nam, bo komunizmu nie lubią i chcą zmian. Pytali się więc głównie nie o programy a o technikę głosowania. Produkowane było tysiące ściągaczek. Trudno mi powiedzieć ile w naszym regionie tych ściągaczek zostało wyprodukowanych Były one były tworzone tak centralnie przez nasze biuro w Jeleniej Górze i w Warszawie, jak i przez poszczególne Komitety Obywatelskie w różnych miejscowościach. Nie wiem, ile ich było, ale na pewno sto tysięcy karteczek zostało rozdanych, a może i dwieście tysięcy. Nikt tego nie zliczył. Na nich było po prostu pokazane, kogo skreślać, kogo zostawiać. I chodziło o to, żeby ludziom wbić w głowę nazwiska, które mają być zostawione, a resztę należało skreślać.

System był skomplikowany i okazało się, że w wyborach senatorskich, w naszym okręgu aż 18% głosów było nieważnych, ponieważ źle skreślano. W wyborach sejmowych było ich mniej, ale 9% głosów nieważnych to i tak zdecydowanie za wiele. Oczywiście na wysokość tych liczb miały też wpływ komisje wyborcze, które odrzucały głosy z byle jakiego powodu, aby zmniejszyć nasze wyniki. Ogromna większość odrzuconych głosów to były glosy na nas.

Po spotkaniu w Gryfowie, miałem już 45 spotkań i według moich szacunków liczba uczestniczących w tych spotkaniach przekroczyła 21 tysięcy osób.

Zaczął się ostatni tydzień. 29-ty maj. Poniedziałek. Pojechaliśmy do Turoszowa, do Elektrowni do Kopalni. Spotkania były niedobre. „Solidarność" była skłócona. Mieliśmy duże trudności z nawiązaniem kontaktów. Z Turowa pochodził nasz kandydat na posła Zbyszek Bobak. Był on jednym z kandydatów wysuniętych przez tamtejszą „Solidarność". On został na listę kandydatów wpisany, a ci, którzy się na nią nie dostali zachowali cierń w sercach, i teraz występowali przeciwko Bobakowi. Takie powszechne u nas zachowania. To były trudne spotkania i nie należały do najlepszych.

W drodze powrotnej, mieliśmy spotkanie w Olszynie. Pod kościołem było bardzo zabawnie. Miejscowy komitet nie był liczny i nie dysponował żadnym sprzętem ani jakimikolwiek środkami. Przygotowali dla nas tylko drabinkę, z której przemawialiśmy do ludzi. Ale spotkanie

było bardzo udane, miłe i takie bezpośrednie. Wieczorem odwieźliśmy, bardzo spiesząc się, Dankę na pociąg do Warszawy. Musiała tam pojechać, żeby na dzień wyborów wrócić i przywieźć dla siebie i dla mnie kartki upoważniające do głosowania w Jeleniej Górze.

Wtorek. Do Bolesławca pojechaliśmy na 13-tą, na spotkanie w zajezdni PKS. Nie zostały specjalne wspomnienia. Potem do Czernicy, na 17.30 do świetlicy. Spotkanie było słabe, mało osób, słaba organizacja, ksiądz niezdecydowany. Ludzie jakoś skłóceni i wzajemnie nieufni.

O 20-tej miałem spotkanie ze studentami w Akademii Ekonomicznej. To był rezultat naszych poprzednich spotkań z panią Strahl i samorządem studenckim. Jakkolwiek to miało być spotkanie ze mną, to pojechaliśmy wszyscy razem, z Romkiem Niegoszem i z Andrzejem Piesiakiem. Spotkanie interesujące. Dyskusje otwarte. Studenci strajkowali wtedy przeciwko ustawom i stosunkom panującym na uczelniach. 159 studentów biwakowało na materacach porozkładanych po salach. Była mała konfrontacja z panem Borysem, dziekanem wydziału i szefem tej filii Akademii Ekonomicznej. Startował z poparciem PZPR, ale chciał się jakoś do nas zbliżyć. Chciał stworzyć wrażenie, że on i ja jesteśmy kandydatami środowiska akademickiego i w ten sposób wyeliminować Piesiaka. Oczywiście bardzo wyraźnie się od niego odcinałem. Nie wytrzymał konfrontacji i wyszedł.

Potem miałem jeszcze nocne spotkanie ze studentami Politechniki w Cieplicach, którzy również strajkowali. Trwało do 12 w nocy. Potwornie zmęczeni wróciliśmy do domów. Pani Maria Niegoszowa nas czekała z kolacją.

Środa, 31-ego. Spotkanie w Zgorzelcu w Liceum. 30 osób. Znowu trudności robione przez dyrekcję szkoły. Wróciliśmy na 17-tą, spóźnieni na spotkanie z Milicją Obywatelską w Jeleniej Górze. Milicjanci są wyborcami, więc uznaliśmy, że mamy prawo z nimi się spotkać i zgłosiliśmy taki dezyderat do Komendy Wojewódzkiej. Zrobiliśmy im straszny kłopot, bo nie wiedzieli jak zareagować. Na odpowiedź czekaliśmy długo. Jak się potem okazało, pytali Warszawę, jak się mają zachować, bo byli absolutnie zaskoczeni naszym wystąpieniem. Wyznaczyli w końcu delegację, ale Noe zgodzili się aby zrobić spotkanie na terenie Milicji. Więc wskazaliśmy salkę katechetyczną przy kościele. Przyjechało 10 milicjantów po cywilnemu. Oczywiście dokładnie wybranych. Spotkanie było zresztą dosyć ciekawe i bardzo pozytywne.

Jeden czy dwa dni później na stacji benzynowej zostaliśmy zatrzymani przez patrol milicyjny. To był pierwszy i jedyny raz, kiedy MO nas zatrzymało, jakkolwiek nasz samochód jeździł plakatowany różnymi afiszami. No i zaczęła się rozmowa: a to pan jest ten Regulski, a to pan jest kandydat. Było ich dwóch. Jeden na drugiego machnął ręką, żeby nie podchodził bliżej i zapytał się: a może macie coś do czytania? Myśmy oczywiście mieliśmy w samochodzie afisze z naszym programem. Był bardzo zadowolony. Zapytałem się dlaczego go nie było na spotkaniu z nami. „No wie pan, przecież tą listę trzeba było akceptować w Warszawie. Nie każdemu

pozwolono pójść na spotkanie z wami. Ale niech pan się nie boi, my wszyscy będziemy głosować na was, bo my chcemy zmienić również stosunki w Milicji." To była bardzo ciekawa rozmowa.

Następnego dnia po spotkaniu z Milicją wskoczyliśmy do samochodu, żeby na 19-tą być w Karpaczu. Karpacz jest ważną miejscowością, ale dotąd nie mieliśmy tam spotkania. Zebranie było pod kościołem, po wieczornym nabożeństwie. Trwało bardzo długo w noc. Skończyliśmy je dobrze po 10-tej. Nie wzięliśmy jednak pod uwagę zmian temperatury. W Jeleniej Górze było ciepło tego dnia. Ale Karpacz leży kilkaset metrów wyżej. A w dodatku to była noc i wieczorny chłód był dotkliwy. Pod kościołem było jakieś 5 stopni ciepła, nie więcej. Ja zostawiłem wszystkie moje ciepłe ubrania, które zawsze ze sobą woziłem, w drugim samochodzie, który został na dole i wylądowałem w koszuli i jakimś lekkim blezerku, który oczywiście nie odpowiadał tej temperaturze. Na szczęście miejscowy wikary zdobył dla nas wszystkich ciepłe, puchowe kurtki.

W pewnym momencie, po dwóch godzinach dyskusji, ktoś mówi: no dajcie spokój, puśćcie już ich, bo jest zimno, oni są zmarznięci i zmęczeni, puśćcie ich do domu. Na to odzywa się inny głos: nie, nie, my musimy ich przetestować czy są odporni na zimno, bo przecież nie wiadomo co ich czeka, być może pojadą na białe niedźwiedzie, to lepiej, żeby byli odporni. Niby z takich dowcipów tośmy się śmieli, ale jednak powodowały one ciarki na plecach. Bo naprawdę nikt z nas nie wiedział, co nas czeka i jakie będą dalsze wydarzenia.

Czwartek, zbliżamy się powoli do końca z kampanią. Wierzymy w sukces, ale nie ma pewności czy wygramy od razu w pierwszej rundzie, czy konieczna będzie dogrywka za dwa tygodnie. Ma to dla naszej polityki znaczenie. Mając ograniczona liczbę afiszów musimy nimi rozsądnie gospodarować. Wiadomo że na drugą turę nowych nie dostaniemy. Powstaje więc pytanie, czy wykorzystać wszystkie w tych ostatnich dniach, licząc że dogrywka nie będzie potrzebna, czy tez oszczędzać, aby mieć z czym prowadzić kampanie, jeśli zajdzie taka potrzeba. Romek Niegosz jest pełnym optymista. Zapewnia, że drugiej tury nie będzie i rozdysponowuje cały zapas plakatów. Ja też jestem optymistą, ale wolę zachować trochę ostrożności i chowam jedną czy dwie paczki na wszelki wypadek. Romek miał, jak zawsze rację.

56. kolejne spotkanie w Bolesławcu o 13-tej, w Wizowie, z załogą. 120 osób. Pozytywne, dobre spotkanie. Znowu miałem kłopoty z samochodem. To był już dość stary Fiat 125 i raz startował, a innym razem odmawiał. Coś tam reperowali przygodni mechanicy, cos uruchamiali, ale na dłuższy okres nie bardzo to funkcjonowało. A to jest bardzo denerwujące, gdy będąc pod presją czasu natrafia się na opór głupiego samochodu, który ani rusz nie chciał zrozumieć powagi chwili.

O 19-tej jesteśmy na Zabobrzu. W kościele, a właściwie pod kościołem wielki wiec. Ksiądz nie był tak bardzo solidarnościowo nastawiony, więc akceptował, żeby zebranie było koło kościoła, ale to musiało być poza kościołem. Dobre spotkanie. Już byliśmy dobrze wtedy

wytrenowani po kilku tygodniach spotkań i przemówień. Było 450-500 osób. Spotkanie ważne, bo zbliżał się koniec kampanii.

Następnego dnia z Warszawy przyjechała Danka> Był już piątek, 2-ego czerwca. Rano pojechaliśmy do Mirska, do Fabryki „Skarbów". Pokazano nam tkalnie. Pracują prawie same kobiety. Słabe zarobki a warunki pracy są straszne. Kurz i pył wciska się wszędzie. Danka bardzo tę wizytę przeżywa. Ale one nie była w Pieńsku. Więc nie wie jak może wyglądać jeszcze gorzej. Danka była już powszechnie znana, więc jeśli się za mną pokazała to zawsze dostawała kwiaty. Tym razem też dostała bukiet. Wzięła go i poszła na halę fabryczną, rozdając po kwiatku poszczególnym pracownicom. Te gesty ludzie sobie bardzo cenili. To było zupełnie coś innego niż dotychczasowe masówki organizowane na przyjazdy notabli partyjnych. Narzuciliśmy zupełnie inny styl spotkań. Zawsze wchodziliśmy tym samym wejściem, co wszyscy, witając się po drodze i ściskając ludziom ręce. Podkreślaliśmy, że chcemy mieć ze wszystkim jak najbliższy kontakt.

O 19-tej pojechaliśmy do Mysłakowic, gdzie był duży odpust. Było zimno, wieczór i padał deszcz. Przemawialiśmy do ludzi w kościele, a potem ksiądz zaprosił nas na kolację. Był biskup, kilku ważnych dziekanów i wielu księży. Kolację ładnie zorganizowano. W większej sali był stół dla księży, a nam podano w drugim, mniejszym pokoju z jednym oddelegowanym księdzem. To dobrze odzwierciedlało sytuacje. Bo właściwie kim byliśmy? I ciągle aktualne było pytanie czy biskup może się z nami spotykać.

Ostatnie, 60 spotkanie było w sobotę. Było to formalne zakończenie kampanii wyborczej. Spotkanie odbyło się w KiK-u a koncert był w teatrze. Było to już spotkanie końcowe, eleganckie i bez dyskusji o programach. Spokojne zakończenie kampanii.

W sumie miałem 60 spotkań, w których uczestniczyło około 24 tysięcy ludzi.

Niedziela 4 czerwca. Dzień wyborów był pierwszym dniem naprawdę wolnym, odpoczynkiem. Pojechaliśmy rano do Andrzejów Piesiaków i razem z nimi w jakimś punkcie oddaliśmy głosy. Jeszcze uściśnięcia dłoni, spotkania, trochę rozmów z ludźmi wchodzącymi do lokalu wyborczego.

Byliśmy już dość spokojni. Już przestałem się bać o drugą turę. Byłem spokojny, wiedziałem, że uzyskamy więcej niż 50 %.

Ale ten wyborczy dzień był taki dziwny. Chodziliśmy po mieście dla zabicia czasu. Nie bardzo wiadomo było co robić. Wieczorem pojechaliśmy do naszego lokalu. Tam był ustawiony komputer, z którego byliśmy bardzo dumni i w którym mieliśmy notować nadchodzące wyniki. Włodek Kocon świetnie zorganizował sieć informacji. Chodziło o uzyskiwania jak najszybciej informacji od naszych obserwatorów w punktach wyborczych. Ciągle nie wiedzieliśmy, czy będą próby oszustw i matactw i jak się zachowają władze. Chcieliśmy więc jak najszybciej mieć wiadomości aby móc jako os reagować.

Po 10-tej wieczorem sytuacja zaczęła być nerwowa. Napięcie wzrastało. W końcu pierwszy telefon: ponad 70% głosów dla nas. Następna nieco gorsza, około 60%. Potem wyniki spadły, parę było poniżej 60, ale wszystkie ponad 50%. Powoli ukształtował się obraz - wszędzie między 60 a 70%. Napięcie powoli przekształcało się w radość.

Przeżywaliśmy momenty wzruszające. Było chłodno i deszcz padał dość mocno. I w środku nocy jakiś człowiek przemoczony do szpiku kości wpadł do lokalu z okrzykiem: „Zwyciężyliśmy, zwyciężyliśmy". Choć przetelefonował wcześniej wyniki to przejechał 15 kilometrów na rowerze, bo nie był pewien czy dobrze zrozumieliśmy jego informacje. A przede wszystkim chciał się podzielić radością zwycięstwa.

Powoli sytuacja stawała się jasna, tak, że mogliśmy z Danką pojechać do domu spać gdzieś koło 3-4 nad ranem. Wpłynęło już ponad 30 % informacji i poparcie kształtowało się na poziomie ok. 65%. Pełne uspokojenie przyniosła wizyta Iwa Byczewskiego w okręgowej komisji, w której był on obserwatorem z ramienia Komitetu Obywatelskiego. Kiedy przyszedł tam zastał jedynie kilku członków komisji, za to kompletnie pijanych. Dla nich wyniki wyborów były zaskoczeniem i sygnałem nadciągających zmian. Informacje te wytrąciły zupełnie wszystkich notabli z równowagi. System zaczął się sypać.

Rano obudziliśmy się całkowicie na luzie. Pojechaliśmy do miasta. Przeszliśmy się po ulicach. Zrobiliśmy sobie pamiątkowe zdjęcia u fotografa. Podziękowaliśmy współpracownikom, których mogliśmy spotkać. Niestety nie wszystkim. Złożyliśmy wizytę Księdzu Stanisławowi i oczywiście złożyliśmy sobie gratulacje nawzajem. Następnego dnia odebraliśmy zaświadczenie z Komisji wyborczej. Miło było mi przeczytać, że zostałem senatorem. Potem pożegnanie w domu państwa Niegoszów i wielka wdzięczność dla pani Marii, za opiekę w tych trudnych tygodniach. I wyjazd do Warszawy.

Wracaliśmy do Warszawy z Danką, Iwem i Włodkiem w świetnym nastroju. Iwo prowadził naszego wysłużonego fiata i prowadził dość ostro. Złapała nas kontrola drogowa. Ale jak się dowiedzieli, że świeży senator jedzie to nas puścili i złożyli najlepsze życzenia: „Jedźcie szczęśliwie. Ale ostrożnie i nie za szybko. Bo jeszcze wiele zakrętów macie do pokonania. I wy, i cala Polska razem z wami." Prorocze słowa.

Wchodziłem, wraz z całym krajem, w nowy etap życia. Życia fascynującego, pełnego wyzwań i, niestety, wielu zakrętów.

Zakopane, sierpień 1990